№ 40. Warszawa, dnia 4 Października (22 Września) 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Walka o szkołę.

„Żądamy od was ustępstw w imię waszych zasad, a gnieciemy was w imię naszych"— klerykalna ta zasada nigdy chyba nie znalazła doskonalszego i bardziej ścisłego zastosowania, jak obecnie w Belgii.

Czytelnicy nasi wiedzą już, o co chodzi: gminy bronią oświaty przed zamachami reakcyjnego ministeryum.

Gdy prawdopodobieństwo przejścia nowych praw o nauczaniu stawało się coraz większem, ze wszech stron płynęły do brukselskiego burmistrza protesty rad miejskich, stowarzyszeń i osób pojedynczych. Gdy nareszcie fatalna uchwała zapadła, olbrzymia manifestacya z godnością i we wzorowym porządku udała się przed zamek królewski, prosząc monarchę, aby swej sankcyi odmówił. Klerykalni chcieli zrazu przeszkodzić publicznemu wystąpieniu stolicy, uznali jednak w czas swe siły za zbyt szczupłe i cofnęli się, obiecując powrócić za tydzień. Ten tydzień powinien był wpłynąć na odmianę ich postanowień, król nie zwrócił uwagi ani na prośby ludności, ani na przedstawienia burmistrzów i ustawa szkolna zyskała prawomocność. Czegoż im więcej trzeba było — mieli satysfakcyę zupełną.

Ale reakcyjny głód jest wielki. Klerykalizm chciał tryumfować nietylko w Izbie i w zamku, lecz także na ulicy. Zaczęła się wcale nie budująca pogoń o zdobycie amatorów do wyzywającej przechadzki po ulicach Brukselli.

Centralny komitet wyznaczył na ten cel 5 milionów franków. Całą armię ajentów posłano na prowincyę w celach werbunku. Nie było zakątka w kraju, gdzieby nie dotarli kusiciele. Nie gardzono nawet cudzoziemcami. Przyrzekano bezpłatną przejażdżkę do miasta, obiecywano obiad suty i obfitą wypitkę; nie zapomniano także o pieniądzach: każdy uczestnik manifestacyi miał dostać gotówką 3 do 5 franków. W niektórych miejscach łudzono nawet chłopów wyrobieniem wstępu na dwór.

Całą noc z 6 na 7 września towarowe wagony wiozły zwerbowanych ochotników do stolicy. A stolica szykowała się na ich przyjęcie... fabrykując świstawki.

Ale ponieważ u pewnych ludzi czapka gore, więc też sztab ultramontański czuł niejaką obawę o swą skórę. Zażądano pomocy od burmistrza. Była w tem może także ukryta myśl narażenia widomego przywódcy opozycyjnego ruchu na przekroczenie swego obowiązku, zmuszającego do czuwania niejako nad powodzeniem nienawistnych dla siebie zabiegów. Dzielny Buls nie zawahał się i wszystkie siły policyjne, jakie ma Brukselia, użyte zostały w dniu tym do pilnowania porządku. Siły te składają się z policyi miejskiej, żandarmeryi, straży ogniowej i obywatelskiej. Minister spraw wewnętrznych pragnął jeszcze poruszyć wojsko, to jednak gwałciłoby prawa istniejące i mogło wywołać istotnie poważne zajścia, więc władza municypalna oparła się.

Takie środki ostrożności nie były widać uznane za dosyć poważne, gdyż pewna część manifestantów uzbrojoną została w grube pałki.

Gdy procesya wyległa na ulice, trotuary zajęte już były przez mieszkańców stolicy. Na sztandarach klerykalnych migotały napisy, zowiące wszystkie żony, córki i siostry liberałów prostytutkami i grożące stuleniem wolnomyślnych... ust przy pomocy chłopskich kułaków. Taka wyzywająca postawa dodała energii płucom i świstawki nie umilkały ani na chwilę.

Naturalnie ujawnianie swych uczuć i dążeń wobec ludności, która nietylko wziąć tego do serca nie chciała, lecz nawet wcale niedwuznacznie wyrażała swą pogardę i niechęć, stawało się śmiesznem i nieprzyjemnem, a akompaniament gwizdawek działał na nerwy, jak zgrzyt żelaza po szkle. To też rozdrażnienie co krok rosło i nareszcie wybuchnęło jako atak kijów z ulicy na trotuary. Liberalni nie okazali najmniejszej zdolności do roli ofiar i ochoty do biernego protestu. Na polu walki legło w rezultacie kilkuset rannych i zabitych.

Klerykalne zaciągi opuściły miasto, ale umysły do spokoju wrócić już nie mogły; co dzień rozbrzmiewały po ulicach podniecające hymny i piosenki, huczały okrzyki na cześć burmistrza, rozlegały się złorzeczenia i pogróżki przed pałacami ministrów i zamkiem króla. Szczególnie dzień 23 z. m. (rocznica wybuchu rewolucyi 1830) dał powód do gwałtownych przejawów niezadowolenia. Do dziś wrzenie nie ustało, chwilami słabnie, ale zaraz znowu pryska z dawną gwałtownością. Skrajniejsi mówić zaczęli o rzeczypospolitej, dwa dzienniki *Nationale* i *Patriote* stały się organami ultra-radykalnych domagań i podpadły pod mściwą rękę policyi.

Oto fakty, a teraz zobaczmy, jakie stąd wnioski snują naśladowcy ruchów rakowych. Głoszą oni światu, iż postępowcy belgijscy podeptali własne zasady, że liberalizm jest doktryną przewrotu, a jej wyznawcy burzycielami niepoprawnymi.

Liberalni powinni najbardziej dbać o niepokalaną czystość ustaw konstytucyjnych, o zasadę wolności, tymczasem bójka 7-go września ma dowodzić braku tolerancyi z ich strony. Powinni byli brukselczycy obelgę rzuconą matkom przyjąć cierpliwie, operacyę kijową znieść z rezygnacyą, lub też opuścić swą rezydencyę na ten dzień, gdy się klerykałom chciało spacerować tłumnie po ulicach stolicy. Król ma prawo oprzeć się, ale ten przywilej nie wchodzi w skład *credo* liberalnego, uważany jest za zło czasowe i niepożądane. Prawo *veta* nie było stosowane nigdy, dla postępowej więc partyi powinno już nie istnieć.

Argumenty to są jak dym, zasłaniają oczy naiwnym prostakom, a znikają wobec pierwszego podmuchu dokładniejszej krytyki. Zwolennik kremacyi nie ma wcale obowiązku palić się za życia, stronnik wielożeństwa nie może swych teoryj praktykować wobec twardego prawa, któreby go pozbawiło wolności. Zupełnie dla tej samej racyi nigdzie żadne stronnictwo nie może zrzekać się używania praw, przez siebie nieuznawanych, gdy te prawa mogą być użyte przeciwko niemu. Dlatego też zwracanie uwagi króla na stan umysłów w kraju, nie był wcale krokiem, przeczącym zasadom.

Nie ulega wątpliwości, że wzburzenie, że otwarta niemal wojna domowa, jest stanem fatalnym. Klerykalni nie mogą przyznać, ale liberalni równie nie mogą nie widzieć, że źródło złego tkwi w gospodarce wsteczników. Ludność według wszelkiego prawdopodobieństwa widzi toż samo i pragnie poprawić swój błąd, jeżeli konstytucya przewidziała taki wypadek i dała królowi odpowiednią władzę, to czemuż z niej

nic korzystać. Znosząc złe skutki jakiejś instytucyi, nie należy wskutek tego wyrzekać się dobrych.

Gdyby zresztą żądania liberałów nie wyrażały pragnień ludności, to i tak w postępowaniu ich nagannego nic niema. Bronią sprawy oświaty i starają się dla niej wyzyskać wszystko. Rzeczą króla jest oceniać argumenty, zważyć za i przeciw. Poczytać im to za przeniewierstwo dla zasad, byłoby tem samem, co zarzucać adwokatowi kłamstwo, gdy pominął okoliczności obciążające klienta.

Jeżeli pierwszy zarzut jest niesłuszny tylko, to o drugim — co do tendencyj przewrotu — powiedzieć nie można, w najbardziej chociażby wymagającym parlamencie, inaczej, jak, że jest bezczelnością. Same fakty usprawiedliwiają dostatecznie użycie tego wyrazu. Burmistrz Brukselli, związek liberalny, wybitniejsze jednostki z partyi, pisma nareszcie od samego początku wzywały ludność do spokoju, do umiarkowania, do trzymania się dróg legalnych, szanowania nawet prawa nowego. Kiedy krańcowi radykali głosić zaczęli wybuch rewolucyi i okrzyknięcie Respubliki, pierwsi liberalni ostrzegali ludność, aby swej sprawy nie łączyła z planami doktrynerów. (Nawiasem mówiąc, nieprzejednani republikanie brukselscy popełnili tu błąd wspólny wszystkim rewolucyonistom na świecie, chcieli przeprowadzać gruntowne zmiany w chwili tryumfu przeciwnika, podczas przesilenia, niekorzystnego dla swych stronników).

Zobaczmy teraz jak się zachowali klerykali. *Courier de Bruxelles*, organ ministra Jacobsa pisze: „Jeżeli nie można powiedzieć, że wszyscy liberalni są kanalią, to w każdym razie twierdzić można, że każda kanalia jest liberałem.“

Nous sommes les maîtres et vous,—inclinez-vous — wołał z trybuny parlamentarnej reakcyjny mówca.

„Idziemy przeciwko Brukselli“ — głosiły przed manifestacyą dzienniki klerykalne. „Zmusimy ugiąć karku przed naszymi sztandarami pyszną stolicę“ — grozili organizujący wyprawę ajenci.

Groźba gwałtów powtarzała się niejednokrotnie, czytelnicy wiedzą już o tem z przeszłego nr. *Prawdy*. Zdarzył się nareszcie wielce charakterystyczny fakt. *La Chronique*, jeden z bardziej poważnych organów liberalnej partyi, wydrukował artykuł pod tytułem: „Nie wszystko skończone.“ Z każdego słowa tryskała zaciekłość i duch rewolucyjny: „Nie, nie poddamy się—wołał —nie schylimy głowy, aby nam ją nagiąć, trzeba wprzód rozstrzaskać.... Będziemy agitowali, manifestowali, a jeśli to nie pomoże, wylegniemy na ulicę z konstytucyą w jednej ręce, z rewolwerem w drugiej.“ Można sobie wyobrazić jak huczne oburzenie wywołała radość liberałów. Takiego wyraźnego, takiego oczywistego, jaskrawego *corpus delicti* nie spodziewano się. Echo tryumfu obiło się aż o skały zagranicznego wstecznictwa. *Gaulois* przedrukował artykuł w całości. Ażeby rzecz bardziej rozgłosić, minister Woste gotował wytoczenie procesu. Aż... zjawia się drugi artykuł. *La Cronique* przeprasza czytelników i prasę klerykalną, że nie wskazała nazwiska autora i pisma, skąd artykuł *dosłownie wraz z tytułem* był przedrukowany. W roku 1879, gdy uchylone dziś prawo zostało zatwierdzone i obecnie rządząca partya była w opozycyi, takim tonem przemawiała klerykalna *La Gazette de Renaix*. Ale dziś broni się zasady porządku i posłuszeństwa przed prawem!

Czyż to nie jest stosowaniem wyrażonej w tytule maksymy! Pan Jacobs nie rachuje nawet na zapomnienie, gdyż jednego i tego samego dnia pioronuje na liberałów, że chcą deptać wolę gmin w kwesyi szkół, i żąda rozszerzenia władzy centralnej w zakresie działań policyjnych.

Ale znaczenie zajść w Brukselli nie ogranicza się do roli ilustracyi walk partyjnych; przerasta ono o wiele towarzyszące mu podrzędne niesnaski wewnętrzne i staje przed światem, jak charakterystyczny znak czasu! Tak niedawno jeszcze jak do pańszczyzny zmuszać trzeba było lud do nauki, a dziś on walczy za nią!

Ministeryum Malou-Jacobs wprowadziło wiele klerykalnych urządzeń do kraju, a jedno tylko targnięcie na szkoły żywo przemówiło do serc ludności.

K. T.

KONKURENCYA ZBOŻOWA *).

I.

Zależność ekonomiczna społeczeństw całego świata i walka ich na rynkach międzynarodowych stwarzają nieraz położenia dziwaczne, przeczące napozór wszelkim prawom nauki gospodarstwa społecznego i zdrowej logiki. W życiu ekonomicznem ludzkości nic niema bardziej pożądanego nad przysporzenie środków, jakimi człowiek potrzeby swe zaspakaja; nic bardziej pocieszającego nad powiększenie tej sumy wartości, jaką jego praca i ciągła zapobiegliwość ku wspólnemu pożytkowi wszystkich wydobywa z łona przyrody zewnętrznej. Ciągłe przekształcanie sił natury, w uśpieniu będących, tak, by je uczynić zdolnemi do zadawalania potrzeb ludzkich — oto jest treść działalności ekonomicznej człowieka. Wszelkie przyspieszenie tego procesu, spotęgowanie go, czy to przez udoskonalenie środków przemiany lub zastosowanie łatwiejszych sposobów, czy też przez rozszerzenie dziedziny produkcyjnej — oto znamiona postępu ekonomicznego.

Tak nas uczy nauka, to samo potwierdza prosty zdrowy rozum i — zdawałoby się— żadne zjawisko przeczyć nie może tym jasnym i ścisłym prawidłom gospodarstwa społecznego.

Lecz niestety, w społeczeństwie dzisiejszem z powodu niezawsze prawidłowej organizacyi sił wytwórczych i stosunków ekonomicznych, to najlogiczniejsze powniki teoretyczne przybierają często w praktyce postać dziwaczną, wprawiającą w zdumienie niewtajemniczonego widza. Weźmy przykład. Przypuśćmy, iż skutkiem udoskonalenia narzędzi, jakimi posługuje się człowiek w wydobywaniu dóbr ekonomicznych z przyrody, albo też skutkiem powiększenia przestrzeni, na której praca ludzka znajduje zastosowanie — produkcya pewnej grupy bogactw w danej miejscowości znacznie się powiększa. Radosna to nowina dla ludzkości całej! — powie każdy nieobeznany z subtelnościami współczesnego mechanizmu produkcyi. A jednak często się zdarza, iż, dobiegłszy gdzieś do krajów odległych, radosna ta nowina smutkiem pokrywa oblicza pewnej kategoryi wytwórców, nasuwa im obawy o przyszły ich byt, rysuje przed nimi groźny obraz nędzy i upadku ekonomicznego. Zapewne więc są to jacyś pasorzyci, których istnienie opiera się na wyzyskiwaniu chwilowo dogodnego stanowiska, na oszukiwaniu i gnębieniu współbraci! — powie znowu nasz prostak. Otóż nie — zdarza się to bowiem i najbardziej produkcyjnymi pożytecznym pracownikom, na których w znacznej części opiera się bogactwo narodowe.

*) Zamieszczamy ten artykuł jako pierwszy głos w niezmiernie ważnej sprawie, którą postaramy się rozpatrzeć ze stron rozmaitych i dla której otwieramy w piśmie naszem swobodną wymianę zdań. *Red.*

---

1)

Z NIZIN.

Cicha była i łagodna. Niejeden kolec życia wpijał się w nią, z pozoru jednak nie znać tego było. Gdzieżby znowu! Jeżyłaby się od nich cała... Wdzierały się w głąb duszy i tam ją szarpały, na zewnątrz—była cicha i łagodna. Tak przedstawiała się oficyalistom, kolegom lub zwierzchnikom swego męża, oraz ich żonom.

Inaczej, gdy się znalazła sama w ognisku domowem. Mąż hardo się stawiał chlebodawcom swoim, a im się chciało nieraz poigrać z nim. Chciało się im nieraz chwycić za nić uczepioną u kłębka-chleba a wychodzącą z ich trzosa, i, jak się z poliszynelem robi, targać nią od czasu do czasu, żeby tańczył, dygotał i kurczył się. Ponieważ nasz świat obecny, „jeden z najlepszych,“ składa się z poliszynelów i z dość pomyślnie wstrząsających jestestwem ich całem, a mąż jej, oprócz wrodzonej sztywności członków, zwykł był na udzielanem mu wynagrodzeniu poprzestawać, więc w ognisku głodno było, chmurno, łzawo i omal że nie chłodno, gdyby nie ciepło, z serc tryskające.

Nędzarskiej najłzawiej było. Dzieci dorastały, a na szkoły nie starczyło. Dola rodziny oficyalisty, pozbawionej chwilowo lub na zawsze głowy — gorzka. Kąt, a w nim łachmany nędzy urągliwej. Cała troska na słabą głowę kobiecą spadła, bo potomstwo ledwie pasa sięgało. Starszego syna, niespełna lat trzynastu, pod naciskiem wstydzenia pewnej sąsiadki, oddała Nędzarska pod opiekuńcze skrzydła ekonoma, żeby się kunsztu jego nauczył... Kosztowało to ją łez gorzkich i nocy bezsennych wiele; spodziewała się go w mundurku uczniowskim widzieć, a widziała duszą posiniałego od mrozu przy doglądaniu robotników, grzmiących cepami po klepisku.

Troje innych dzieci potrzeba było samej żywić, a czem? Mąż nie był „poliszynelem“ i umiał się godzić z płacą wyznaczoną... Pracował, żeby żyć i rodzinę wyżywić, posiadał więc zalety właściwe robotnikom, nie zaś zbieraczom grosza. Nie stało go, jego głowa, uzdolniona długoletnią praktyką zarządu leśnego, grzęzła od dwóch lat w poduszce, sycąc ją potem swym i ogrzewając ciepłem tyfusowem, lub odbierając wrażenia darć reumatycznych rodem z wilgoci cel klasztornych; nie stało więc odzieży czystej i ciepłej, dla dzieci obuwia całego i pokarmów pożywnych. Że nie wyrzucono biednej kobiety z domu, zajmowanego przez jej męża, i pobłażająco patrzono, jak na szmacie gleby lichej co rok ogórki jej kwitły kwiatem bezowocnym, kapusta się wiła w głowy, równe pięści dziecięcej, i nać kartoflana, wątła, często przez trzodę chlewną dzierżawcy plądrowaną była — to dzięki jedynie dotlewającej iskierce uczucia łączności dziedzica z szarakami...

— Alež, jaśnie wielmożna pani! — czulszy ktoś z ziemian mawiał czasem do byłej chlebodawczyni Nędzarskich. Toć bieda, słyszę, straszna im doskwiera... Jeść nie mają czego, odziać się w co...

— Ha, sami sobie winni — brzmiała odpowiedź nosem. U nas zawsze tak!... Szaraki piwa nawarzą, a my pić musimy za ich zdrowie! Niechże oni teraz za nasze wypiją i dowiedzą się, jak smakuje...

Piła je Nędzarska, i nie kuflem — dzbanem całym!...

Pewnego dnia dzierżawca złapał jej dwoje dzieci na gorącym uczynku. Nieopodal od domu, gdzie mieszkała, była sadzawka, a nad nią rosła grusza dzika. Owoce już dojrzewały, bo powietrze tchnęło jesienią. Zachciało się dziatwie wetów po obiedzie, raczej po krupniku jaglanym ze starą, gorzką słoniną, więc poprzyczajały się pod płotem i czekały silniejszego wiatru.

Wypadki podobne, częste w sferze współczesnych nam stosunków ekonomicznych, posłużyć mogą za wymowną ilustracyę wartości naszego ustroju. Nie wdając się tutaj w szczegółowy jego rozbiór, wskażemy tylko, iż najbliższą przyczyną podobnych sprzeczności jest zasada wolnej konkurencyi, panująca obecnie wszechwładnie. Sama ona jest koniecznym wynikiem kierunku, jaki przyjęło w czasach najnowszych gospodarstwo narodowe świata ucywilizowanego, pod wpływem pewnych warunków dziejowych. Jest to wynik nieunikniony tam, gdzie „bellum omnium contra omnes“ stało się szczytem mądrości ekonomicznej, najwyższą zasadą działalności społeczeństw. Oczywiście zastosowanie tej zasady w praktyce obyć się bez tego nie może, by od czasu do czasu ktoś z walczących nie wyleciał zmiażdżony i zdruzgotany z placu boju. A na pociechę można mu tylko przypomnieć bezlitosne słowa: *Vae victis!*

Uwagi powyższe nasuwa nam obecnie wypadek, pokrewny z przykładem wyżej przedstawionym, a nas zbliska obchodzący, bo dotyczący jednej z głównych gałęzi naszej pracy narodowej.

Wiadomo, że od lat już kilku nasz handel wywozowy, opierający się przeważnie na pszenicy i płodach rolnych, napotkał na rynkach europejskich groźnego współzawodnika w postaci zboża amerykańskiego. Lekceważony początkowo przeciwnik, dorósł w szybkim czasie do wielkości i znaczenia, grożącego całkowitym upadkiem tej części naszej gospodarki, z którą wszedł w zapasy, czego wcale niedwuznacznym przedsmakiem jest panujący już u nas obecnie zastój w handlu zbożowym.

Kwestya ta wprawdzie obchodzi przedewszystkiem i bezpośrednio interesy właścicieli ziemskich w kraju, grożąc usunięciem głównej podstawy ich gospodarstwa prywatnego. Po za tem wszakże posiada ona znaczenie ogólniejsze i dotyczące już całego gospodarstwa narodowego. Zjawia się bowiem pytanie: czem mianowicie stosunki swoje handlowe zzagranicą podtrzymać zdołamy, jeżeli produkt, który pod tym względem za niezawodny uznawaliśmy, z rynków zagranicznych usuniętym zostanie? Albo też: czy upadek naszego wywozu i—co za tem idzie — przywozu produktów zagranicznych oraz wynikający stąd uszczerbek dadzą się wynagrodzić w jaki inny sposób? Czy, słowem, nie możemy znaleść ratunku na dzisiaj a zabezpieczenia od podobnych wypadków na przyszłość—w innym niż dotychczasowy typie gospodarstwa krajowego?

Nim jednak przystąpimy do rozpatrzenia tych złożonych pytań, zdajmy sobie choć przybliżenie sprawę z grożącego nam niebezpieczeństwa. Zbadajmy mianowicie: jaka część naszego dochodu narodowego zagrożoną jest upadkiem?; jakie warstwy ludności krajowej przeważnie dotknięte zostaną w razie niepomyślnego dla nas obrotu tej sprawy?; czy i o ile ucierpieć na tem może kraj cały i gospodarstwo jego?

Odpowiedź na pytania powyższe dostarczy nam statystyka naszych sił produkcyjnych. Nie mając świeższych cyfr pod ręką, korzystamy z cennej pracy J. Poznańskiego, która przedstawia wyczerpująco stan ekonomiczny Królestwa Polskiego w latach 1874, 75 i 76.

Rozpatrzmy przedewszystkiem, jaką rolę w wywozie wytworów krajowych zagranicę odgrywa zboże i surowe produkty rolne.

Ogólna wartość wywozu naszego wynosiła,

W r. 1874	52,683,295 rs.	
„ 1875	43,549,680 „	(rok nieurodz.)
„ 1876	47,921,873 „	

W tej liczbie zaś zboże wszelkich rodzajów stanowiło:

W r. 1874	28,000,000 rs.
„ 1875	15,415,000 „
„ 1876	24,200,000 „

Czyli stosunek wartości zboża do wartości całego wywozu zagranicę wynosił:

W r. 1874	53.2%	
„ 1875	35,4%	(rok nieurodzajny)
„ 1876	50,5%	

Cyfry te wykazują więc dobitnie, iż produkty rolne krajowe stanowią w wywozie naszym pozycyę najważniejszą i że od nich przedewszystkiem zależy utrzymanie się nasze na rynkach zagranicznych.

Zobaczmy teraz, jaką część swej produkcyi rolnej kraj nasz obecnie wysyła zagranicę? jaką część dochodu naszego konsumowały dotąd żołądki niemieckie i angielskie? Tu trzeba porównać cyfry wywozu z ogólną produkcyą rolną kraju. Ta ostatnia wynosiła w czetwiertiach:

	zboża	kartofli
W r. 1874	20,185,506	18,822,624
„ 1875	19,715,145	21,712,678
„ 1876	21,766,146	20,861.533

Wywóz zaś naszego zboża za granicę w tych samych latach wynosił w czetwiert.:

W r. 1874	3,621,000
„ 1875	2,050,000
„ 1876	3,450,000

Ostatnie cyfry składają się co do rodzaju zboża w następujący sposób:

	1874	1875	1876
pszenicy	885,000	600.000	850,000
żyta	1,536,000	750,000	1,100,000
owsa i in.	1,200,000	700.000	1,500,000
	3,621.000	2,050,000	3,450,000

W stosunku więc do ogólnej krajowej produkcyi zboża wszelkich rodzajów wywów zagranicę pochłaniał:

W r. 1874	18%
„ 1875	10%
„ 1876	15%

Jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę także produkcyę kartofli, t. j. wogóle *całą produkcyę rolną* kraju, to cyfry powyższe wypadną jeszcze o połowę mniejsze, a mianowicie:

W r. 1874	9.3%
„ 1875	4,9%
„ 1876	8,0%

Ciekawem nareszcie będzie jeszcze obliczenie, dające nam pojęcie o stosunku wartości wywozu do wartości całego dochodu krajowego. Ten ostatni wynosił:

W r. 1874	497,381,497
„ 1875	502,456,756
„ 1876	537,549,889

Z tego zaś posłaliśmy spożywcom zagranicznym w postaci pszenicy, żyta i in. zboża;

W r. 1874	5,6%
„ 1875	3,1%
„ 1876	4,5%

Cyfry więc powyższe wskazują, iż z całej naszej produkcyi rolnej posyłaliśmy za granicę 9.8, 4.9 i 8.0%, co w stosunku do całego dochodu narodowego w kraju wynosiło 5.6, 3.1 i 4.5% *). Wprawdzie nie jest to jeszcze tak wiele, lecz za to z produkcyi rolnej posyłaliśmy część najlepszą: pszenicy stosunkowo najwięcej, żyta już nieco mniej, a kartofle—tośmy wszystkie prawie w domu u siebie zjedli! Przyczynę tej wspaniałomyślności poznamy niżej.

*) W statystyce Poznańskiego czytamy obok danych powyższych: „Przeglądając cyfry wywozu z ostatnich lat 17-tu, widzimy, że handel wywozowy w Gdańsku upada coraz bardziej. W latach poprzednich ilość zboża wywiezionego ani razu nie była niższą od 200,000 tonn, a kilkakrotnie dochodziła do 300,000. Po r. zaś 1870 wywóz trzy razy spadał niżej od 200,000 tonn. Tłomaczyć to należy tem, iż Rosya, Ameryka, Węgry i kraje naddunajskie coraz więcej i coraz taniej dowożą na rynki europejskie, a więc wypierają z nich coraz bardziej produkty polskie.“ (Str. 83).

Wiatr się wszczął, miotnął konarami drzewa w jedną, w drugą stronę, posypały się gruszki. Dotąd wszystko w porządku. Ale dzierżawca spostrzegł, iż za każdym silniejszym podmuchem wiatru, jak na dane hasło, biegły pod gruszę i świnie jego z dziećmi Nędzarskiej. Nie podobały mu się te wyścigi, wołał, żeby jego trzoda się żywiła, zamiast dzieci kobiety, co odmówiła mu błahej usługi — nie pozwoliła dziecku swemu kminku dlań zbierać, pomimo obietnicy sutego podwieczorka.

— Trzymaj pani dobrodziejka krócej swe dzieci! — ofuknął biedaczkę! Jak je pani dobrodziejka chowasz? Oduczaj zawczasu od żarłoczności, bo nie będą miały co kłaść w swe nienasycone brzuchy, jak na paniczów powyrastają! Kminku nie chciało się zbierać?... Fanaberye tego... gagaciki tego!...

I lałby się bez końca ten potok słów z ust dzierżawcy, wytresowanego w wymowie obcowaniem z czeladzią, gdyby biedna Nędzarska, ochłonąwszy nieco ze wstydu i upokorzenia, stłumiwszy spazmatyczną skłonność w krtani, nie położyła końca tymi wyrazami:

— Gruszki pańskie cało będą... Proszę mi dać pokój!... Nie słucham... nauk pańskich...

Drżała na całem ciele, jak liść osiczyny. Setnej jednak części nie wypowiedziała z tego, co jej kotłowało w głowie. Rozstroiło to ją tak, że, chodząc, na nogach się chwiała i często za tył głowy chwytała ręką. Jakieś licho tam w potylicy i karku jej dolegało. Zmęczenie i słabość!

— Niech mama nie płacze — pocieszał starszy synek — tata wróci!... Niechże mama nie płacze!... Ot, pójdę za ogród, do mchu, koźlaków nazbieram, mama usmaży...

— Mój Stefku, nie chodź pod gruszę! Zabraniam wam wszystkim!... Oszczędzajcie mi wstydu...

Posłuszne to były dzieci i z przedwcześnie rozwiniętą godnością własną. Kiedy następowało pojednanie z rodziną dzierżawcy, córki jego dorosłe i podlotki, chłopcy-rówieśnicy — wszystko to się schodziło do Nędzarskiej, ta z kądzielą, tamta z drutami i kłębkami, na wieczorynkę. Siedzą przed kominem, który bucha rozkosznym ogniem, wrzeciona warczą w palcach, druty, przesuwane, pobłyskują. Chłopcy dzierżawcy, rozpuszczone dzieciska, hałasują: dopadną starego, rozstrojonego i kształtu skrzyni, na nogach osadzonej, fortepianu, grzmocą nielitościwie w klawisze ochrypło, aż w uszach skrzeczy. Matula ich tymczasem cała się rozpływa z zadowolenia, że może dosyta Nędzarskiej ganić niezaradność jej męża, niewłaściwe wychowanie dzieci. A mówi przytem jednym z tych natrętnie krzykliwych głosów, od których, gdy i zamilkną, długo jeszcze w uszach dzwoni.

— Ot, przysłałabyś choć raz chłopców swoich do nas! Zabawiliby się z moimi, pierze pomogliby drzeć dziewczętom. Mocya potrzebna jest dla zdrowia... Zmarnieje to bez niej!... Chłopcy takie duże, a dzikusy! Wstyd!.. Ledwie ich gwałtem zaciągnąć się uda...

Gdzie im to w głowie! Starszy, Henryś, znudzony hałaśliwością synów dzierżawcy i szturchańcami to w bok, to w piersi, siadł z dala od wszystkich u stołu i rysuje coś przy ogarku świecy, gaszonym co chwila przez swawolników. Młodszy, Stefek, zawsze powolny, nawet się wcale nie wmieszał do zabawy, wlepił oczy w *Pielgrzyma z Dobromila* i z rosnącą przekorą, pod wpływem nieszczędzonych nagan dzierżawczyni za ochotę do książek, pożerał litery, skaczące i dwojące mu się w oczach od wytężenia i słabych blasków z komina, odkradanych przez gości. Miał za to od urwisów, instynktowo podzielających zazdrość matki! Niejeden, to drugi, naprzemian, przybiegnie, włosy pomiesza na głowie dziecku pilnemu, książkę wytrąci z ręki i zaśmieje się dziko.

— Cóż tak siedzisz, jak żyd nad biblią!— syknie dzierżawczyni, usta zagryzając.

Cyfry przytoczone dają więc nam przybliżone pojęcie o wpływie, jaki wywrzeć może współzawodnictwo z Ameryką na kierunek naszego rozwoju ekonomicznego w bliskiej przyszłości. Dotyka ono produktu, który przedstawia pozycyę najważniejszą w całym wywozie naszym. Wyparcie więc tego produktu z rynków europejskich byłoby ciosem zabójczym dla naszego gospodarstwa wywozowego. Z drugiej jednak strony nie należy przeceniać doniosłości tego faktu, jak to czynią już dzisiaj ci, co upatrują w konkurencyi zbożowej przyczynę, mogącą doprowadzić kraj cały do zupełnej ruiny i ekonomicznego upadku. Do postawienia tego wniosku uprawnia nas wzgląd, iż, bądź co bądź, w ogólnym dochodzie narodu część przeznaczona na wywóz nie posiada wcale znaczenia pierwszorzędnego. Gdyby nawet usunięcie tej pozycyi z budżetu narodowego okazało się całkowicie nieuniknionem, wskazywałoby to, iż gospodarstwo krajowe wprowadzić należy na inne tory, niż te, na których dotąd szukało rozkwitu. Zmiana podobna dotknie srodze jedną warstwę ludności krajowej; sprowadzić ona nawet może na czas jakiś zamęt pewien w stosunkach wewnętrznych, nieunikniony przy wszelkiej reformie ekonomicznej, lecz ani ruiny, ani ogólnego upadku wróżyć stąd jeszcze nie można.

Właśnie kraje rolnicze tem wyróżniają się korzystnie od społeczeństw, które byt swój na innych gałęziach wytwórczości ludzkiej opierają, że łatwiej mogą stawić czoło przewrotom ekonomicznym, jakie peryodycznie zachodzą w ustroju współczesnym w tej lub owej gałęzi gospodarczej. Posiadając bowiem wewnątrz siebie i w ilości dostatecznej główne tło, na którem rozwija się działalność ekonomiczna ludzi, mniej oglądać się muszą na stan ogólny targu międzynarodowego, a w razie niekorzystnego dla nich obrotu na tym ostatnim, zadanie całe sprowadza się dla nich do przekształceń w wewnętrznem swem życiu ekonomicznem. Przytem jednak oczywiście ta lub inna warstwa producentów, wysunięta na stanowisko pierwszorzędne przez stosunki dotychczasowe, może być zmuszona do opuszczenia go.

Powiedzieliśmy już wyżej, iż wszelkie ewentualności, na które narażoną być może część produktu rolnego, przeznaczonego na spożycie zagranicy, przedewszystkiem dotknąć muszą tę klasę wytwórców krajowych, którzy na wywozie byt swój opierają. Rozpatrzmy więc to bliżej. Z dwóch głównych działów, na jakie rozpada się u nas klasa wytwórców rolnych, każdy niejednakowo uczestniczy w dostawie produktów na rynki krajowe i obce. Nie popełnimy wielkiej omyłki, gdy powiemy, iż za granicę idą wyłącznie niemal płody, pochodzące z własności wielkiej. W niej to bowiem, po zaspokojeniu potrzeb wytwórców bezpośrednich, t.j. właścicieli i ich czeladzi, pozostaje dość znaczny nadmiar wytworów, nadający się do zbycia w wielkich partyach, który więc stanowi przedmiot handlu wywozowego i zwykle natychmiast po zbiorze, koleją lub drogami wodnemi, zdąża na rynki zagraniczne.

Druga kategorya naszej własności rolnej, chociaż przewyższa nieco pierwszą co do przestrzeni ornej, wszakże nadmiaru znacznego posiadać nie może. Wskutek szczupłości działów, własność chłopska w $^2/_3$ częściach zaledwie wystarcza na jakie takie przekarmienie wytwórców. W większości wypadków więc nietylko nie może marzyć o sprzedaży, lecz zmuszoną jest pod groźbą głodu do uprawy płodów mniej pożywnych, lecz za to obficiej w stosunku do przestrzeni produkujących. Na tych to gruntach kwitnie przeważnie uprawa kartofli, które w ogólnej produkcyi kraju same jedne wynoszą tyle, co wszystkie zboża razem wzięte. Dopiero część najzamożniejsza włościaństwa naszego, dzięki skrzętnej zapobiegliwości lub szczęśliwszym warunkom, po nakarmieniu się własnem, posiada jeszcze jakąś resztę na zbyt. Lecz ten nadmiar z własności chłopskiej wychodzi co najwyżej na bliskie rynki małomiasteczkowe. Ma on zadanie co najmniej tyle ważne, jak część produktu wywożonego zagranicę, a mianowicie — wyżywienie ludności miast i miasteczek prowincyonalnych.

Wogóle więc biorąc, twierdzić śmiało można, iż handel nasz wywozowy opiera się wyłącznie na własności wielkiej, drobna przeciwnie — to spożycie na miejscu, konsumcya krajowa.

Z poprzedniego więc wynika, iż utrata rynków zagranicznych niejednakowo odbić się musi na dwóch kategoryach rolnictwa naszego. Zachwianem jest przedewszystkiem, jeżeli nie wyłącznie nawet, stanowisko dotychczasowe własności wielkiej, gdyż ona to tylko byt swój na wywozie zagranicznym opiera. Skutki zaś ogólniejsze dla całości gospodarstwa narodowego o tyle tylko wywiązać się stąd mogą, o ile pewne gałęzie produkcyi naszej z własnością wielką w ścisłym pozostają związku lub wśród warstwy wielkich właścicieli znajdują spożywców.

Do długiego więc szeregu przyczyn, jakie dziś już niekorzystnie oddziaływają na stan ekonomiczny własności wielkiej, przybywa z konkurencyę zbożową nowa, bodaj czy nie groźniejsza od wszystkich poprzednich. Jakież tu mogą być następstwa? Oto, przedewszystkiem powiększy się długa lista majątków wystawianych corocznie na sprzedaż przez Dyrekcye szczegółowe Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego *). A jeżeli dotąd wyjątkowo tylko licytacya dochodziła do skutku, gdyż przed terminem wiosennym właściciele, wziąwszy pieniądze za zboże, zdążali pokryć należności, to teraz, jeżeli zastój nadal trwać będzie, zaiste smutna odkrywa się perspektywa dla obdłużonej po uszy własności ziemskiej. Przy takim zaś stanie rzeczy spotęgować się muszą te wszystkie procesy ekonomiczne, które w kraju naszym upadek własności wielkiej wytworzył. Przybędzie nowa pobudka do sprzedawania ziemi niemcom, do rozłamywania jej pomiędzy drobnych nabywców, do ratowania interesów gospodarczych przez wycinanie lasów itd. Wobec tego niedziw więc, iż cała prasa nasza gorliwie sprawę zbożową do serca wzięła, a kwestya zagrożonego bytu właścicieli ziemskich przyjęła w oczach wielu rozmiary sprawy ogólno-narodowej, której pomyślne rozwiązanie stanowi o przyszłym naszym bycie społecznym.

Dalecy jesteśmy od nadawania jej tak olbrzymiego znaczenia i doniosłości. Że jednak wywiązać się z tego mogą w przyszłości wielkie zmiany w całym systemie naszego gospodarstwa krajowego, to nie ulega wątpliwości. Uświadomienie więc następstw, jakie nas czekają, współdziałanie w miarę możności pomyślnemu obrotowi rzeczy — oto w danym razie zadanie publicystów i ekonomistów naszych.

Wogóle biorąc, dwie są drogi do usunięcia niebezpieczeństwa, jakie konkurencya z Ameryką wywozowi naszych produktów rolnych stworzyła. Naprzód: nie ustępując z placu na rynkach zagranicznych, udoskonalić naszą produkcyę rolną na tyle, by współzawodnictwo stało się dla nas możliwem i korzystnem, albo też, powtóre: ustąpiwszy, wyrzec się powoli rynków zagranicznych dla zboża polskiego, a natomiast

*) Obecnie już cyfra ta jest nadzwyczaj znaczną. W samej gubernii kieleckiej majątków ziemskich wystawionych na sprzedaż jest 293! w warszawskiej 84, we wszystkich innych po 50 — 60 mniej więcej.

Jemu nic do tego. Nędzarską tęsknota za serce chwyta, chciałaby kogoś na świadka wezwać, żeby podziwiał ją, dzieci jej, ramionami wzruszał, słuchając dzierżawczyni. Przekora jakaś rośnie w piersiach... Łagodność wrodzona w słowa jej ubrać nie pozwala. Za to jaka błogość zapanowywa w jej duszy, dzieciom się udzielając, gdy goście wyjdą, a z nimi i zgiełk nieznośny odleci!

— Chwałaż ci, Boże, że nareszcie poszli sobie! — cieszyła się kobieta. W głowie mi się ćmi i kręci od tego hałasu... Och! Sto pudów spadło z duszy...

Kiedy przechodziła przez pokój, na nogach się chwiała; uczuła zmęczenie w tylnej części głowy, chwyciła się za nią, a na twarzy przestrach się odmalował.

— Co mamie? Co mamie? — ozwał się chór dzieci strwożonych.

— Nic... Nic... To przejdzie... Ściskanie jakieś...

Ile razy trapiła ją ta dolegliwość, brała poduszeczkę, przykładała do głowy i krzątała się w ten sposób. To jej ulgę sprawiało.

Miała Nędzarska i chwile jasne, ale to dawniej. Teraz często wzdychała do mieściny, przeglądającej się z całem swem żydowstwem w toniach Swisłoczy. Kiedy ktoś z bywalców opowiadał przed nią o różnych cudownościach po miastach wielkich, na twarzy jej osiadała rzewność.

— Niema dla mnie lepszego i łagodniejszego miasta nad Żydzińsk — mawiała.

— O, pani kochana, jak to znać zaraz, żeś pani tam dawno nie była!... Nie tak on teraz wygląda, choć się rozrósł... Brzydkie miasto, nieznośne!...

Stan duszy Nędzarskiej wtedy streścić by się dał jednem: „Jakto może być?“ Chociaż w samej rzeczy zaledwie mogłaby poznać swe miasto rodzinne o podwójnej liczbie żydów i domach malowanych: ściany żółto, dachy zielono; zawsze jednak wyliczyła jego wdzięki, których obraz zapadł w jej duszę jeszcze za lat młodocianych.

— Podłe miasto! — posłyszała czasem od kogo znowu — samo pejsy i jarmułki...

Żal ją wtedy za serce chwytał. Toć to kolebka jej, tam w pensyę chodziła, tam siostry jej wiodły żywot staropanieński, zgryźliwy, ciasny; brat, podpora ich, lekcyami muzyki chleb powszedni wybrzękiwał. Postać jego, co się dla sióstr na bezżenność skazał, opromieniona doskonałością idealną, nie mogła jej wyobraźni nawiedzić, żeby łza rozczulenia nie stoczyła się na policzki wychudłe. Tam nareszcie patent na nauczycielkę francuzczyzny i muzyki wydano jej. Uroczy obraz miejsca rodzinnego wyniosła ze sobą, przyświecał jej w tułactwie, zwanem życiem nauczycielskiem. Ponieważ nigdy odtąd nie zdarzyło się jej być w Żydzińsku i porównać obraz jego dawny, w panieńskiej duszy wyciśnięty, z obecnym, więc kto inaczej utrzymywał, raził ją i zgryzoty napędzał.

Miała jeszcze drugą kartę świetlaną w swem życiu. Kiedy się tułała po domach, udzielając potomstwu ziemiańskiemu francuzczyzny i sztuki dręczenia fortepianów, środków szlachetniejszych wyróżniania się z pomiędzy rzeszy szaraczkowo-siermiężnej, zdybała się z oficyalistą zarządu leśnego pewnego magnata. Jej smutno było śród obcych, jemu samotność zaciężyła. Miał oko czarne, wąs czarny, język ostry, kark sztywny, gdy spojrzał w jej oczy fiołkiem świecące, pierzchliwe, twarzyczkę powabną i skromną—serca w rytm uderzyły, ręce się splotły, ksiądz stułą związał i odtąd znani byli ludziom, jako Nędzarscy...

Ej, płynęłoż im życie słodko, płynęło! Nędzarski służby zaniechał, a dzierżawę wziął. Ładny to był folwark, Cudzynem go zwano. Jezioro obok, duże i rybne. Tam ich ognisko o dwie córki i jednego syna się zwiększyło. Dzierżawili później folwark u innego ziemianina, dobrze im się wio-

zwrócić usiłowania swoje ku przekształceniu gospodarstwa wewnątrz, przez zastosowanie w niem innego typu, któryby lepiej odpowiadał potrzebom krajowym, niż ryzykowna walka ekonomiczna na targach wszechświatowych.

Pierwsza droga byłaby może z punktu widzenia panujących obecnie doktryn ekonomicznych bardziej pożądaną. Lecz niestety wątpić poważnie można, czy jest ona dla nas możliwą.

Dwa główne czynniki składają się, jak wiadomo, na stworzenie wszelkiej wartości: przyroda i praca ludzka, tak w formie bezpośredniej, jak i nagromadzona poprzednio w postaci kapitału. Otóż pod obu względami ustępujemy znacznie Ameryce. A jeżeli jeszcze marzyć wolno o udoskonaleniu naszej techniki rolniczej i doprowadzeniu jej do stanu, w jakim znajduje się w Ameryce, to już z pewnością nie zdoła podnieść produkcyjności pól naszych na tyle, by kiedykolwiek wyrównały dziewiczym gruntom Nowego Świata, z żyznością niesłychaną, o których coraz to nowe cuda nam prawią.

Nie darmo sami amerykanie ironicznie radzą starej Europie, by pola swe oddała na pastwę głogów i traw dzikich, a troskę o wyżywienie swoje pozostawiła Nowemu Światu.

I rozumni anglicy w części usłuchali już dzisiaj tej rady. Obszar gruntów ornych zmniejsza się tam stale, a na ich miejscu powstają pastwiska, lub nawet parki i ogrody możnych landlordów. A przecież, przynajmniej co do techniki rolniczej, Anglia łatwiej mogłaby dorównać współzawodnikom amerykańskim, niż kraj nasz ubogi w zasoby społeczne i siły przyrodzone.

Wszystko to przypuszczać każe, iż trwałe zwycięstwo nad produktami amerykańskimi na rynkach europejskich jest dla nas rzeczą niedościgłą.

Powinniśmy być przygotowani na to, iż powoli rynki te usuwać się przed nami będą. A w takim razie występuje na plan pierwszy dla ekonomii krajowej konieczność takiego urządzenia gospodarstwa narodowego, przy którem zbyt produktów za granicę zająłby stanowisko drugorzędne, głównym zaś jego celem i zadaniem byłby obrót wewnętrzny.

Przy podobnem ukształtowaniu się stosunków ekonomicznych zagrożone rolnictwo znaleźć może ratunek jedynie *w rozszerzeniu konsumcyi miejscowej, w powiększeniu koła nabywców krajowych.*

Jakie warunki są na to potrzebne, o tem pomówimy w artykule następnym.

A. Zakrzewski.

O CHOLERZE.

(Polemika Pettenkofera z Virchowem).

Dr. Koch, jak wiadomo czytelnikom naszym, wynalazł osobny zarazek dla cholery. Pobudzeni przez jego odkrycie i przez wypadki we Francyi oraz we Włoszech, badacze rozpoczęli spór nad tym przedmiotem. Z wielu głosów wyróżnia się polemika prof. Virchowa z Pettenkoferem w czasopiśmie *Nation*, z którą poznajomimy czytelników *Prawdy*.

I.

MAKS PETTENKOFER.

Virchow powiada w swoim artykule (*Nation* nr. 41), że „musiałbym strasznie naciągać fakty,“ ażeby pogodzić wybuch cholery na okrętach z moim poglądem na znaczenie gruntu przy powstawaniu epidemii. Autor dotknął już zlekka tego przedmiotu w sejmie i występuje odtąd jako stanowczy stronnik kontagionistów przeciwko lokalistom, z których pierwsi wyprowadzają przyczynę szerzenia się cholery z czegoś, pochodzącego od chorych, ostatni zaś z czegoś, tkwiącego w miejscowości cholerycznej. Lokaliści opierają się na tem, że cholera nie rozszerza się zazwyczaj na statkach, chociażby one wiozły nawet na pokładzie pojedynczych chorych; kontagioniści zaś powołują się na to, że epidemiczne wybuchy zdarzają się jednak od czasu do czasu na okrętach, chociaż bywa to zaledwie raz jeden na tysiąc statków, opuszczających dotknięte cholerą porty. Niechaj kilka przykładów objaśni moje słowa.

Podług listy biur pocztowych i wychodźczych Now-Yorku, w r. 1873 przybyło na 760 statkach 316,956 osób, z czego na Europę przypadło 266,055 (a w tej liczbie 113,920 osób na niezarażoną pomimo stosunków handlowych Anglię, reszta zaś, t. j. 152,135, z pozostałych krajów Europy, popłynęła na 400 wychodźczych i pasażerskich okrętach z dotkniętych epidemią portów). Wypadków cholery na owych statkach było wszystkiego 16 i to na dwóch 1, na jednym 3, a na jednym 11. Pomimo że sposobność do osobistego zarażania się jest większą na okrętach, a szczególnie na wychodźczych, aniżeli w najciaśniejszych nawet mieszkaniach starego lądu, widzimy jednakże, że cholera nie rozszerzyła się tu z wyjątkiem owych 11 wypadków, na które może się powołać kontagionista.

Ale jak wytłomaczą nam ci panowie tę okoliczność, że owe 11 wypadków należało do dwóch niemieckich rodzin, z których 3 osoby umarły, reszta zaś, przeniesiona do szpitala na Dux Island, wyzdrowiała? Jedynem rozwiązaniem tej zagadki jest przypuszczenie, że obie rodziny wstąpiły na pokład zarażone już w Hamburgu, w miejscowości dotkniętej cholerą i że nawet możebnym byłby wybuch epidemiczny, gdyby odpowiednia liczba pasażerów znajdowała się na stałym lądzie przed wejściem na pokład w takim samym stanie, jak owe rodziny. Ale nawet i wtedy nie mielibyśmy prawa twierdzić, że epidemia pochodziła od chorych cholerycznych na okręcie.

Kontagioniści postępują tak, jak im jest wygodniej, a mianowicie wybierają z historyi cholery na okrętach rzadkie wypadki, nadające się do ich teoryi, a pokrywają milczeniem wielką ilość innych objawów, świadczących przeciwnie. Chociaż jestem lokalistą, nie zamykam oczu na te fakty, które mi przeczą, a na dowód biorę okręt wojenny, na którym dochodzenia statystyczne, przeciwko niedokładności których nieraz już występowano, będą w każdym razie pewniejsze. Podczas wojny krymskiej (1855 — 1856) cierpiały na cholerę flota francuska i angielska. I tu też stosowano zwykły zapobiegawczy środek marynarzy, a mianowicie wypływano na pełne morze przy pierwszem ukazaniu się cholery pomiędzy załogą okrętów, znajdujących się w Warnie i Bałakławie. Środek ten okazał się skutecznym. Jednakże na kilku statkach, a szczególnie na „Britanii,“ na której powiewała flaga wice-admirała Dundasa, nie pomógł. „Britania,“ której załoga składała się z 1040 ludzi, przybyła w końcu lipca z Anglii do Warny zupełnie zdrowa i niezarażona. Wkrótce zaczęły się pokazywać choleryny i pojedyncze wypadki cholery i dlatego też chwycono się zwykłego sposobu, t. j. wypłynięto na pełne morze. Chociaż zrazu zmiana zdawała się działać dobrze, następnego wszakże rana rozpoczął się straszny wybuch. Z 1040 osób 229 zachorowało na wyraźną cholerę, z tych umarło 139, t. j. 13%. Epidemia ustała po upły-

---

dło, córkę starszą na pensyę oddali, a marzyli o umieszczeniu syna w gimnazyum. Ziemianin dał im poznać swą moc, uwikłał ich z sobą w proces i, silny baterya środków wykrętowych, właściwych prawu własności, zgnębił ich do szczętu. Z dzierżawcy stał się Nędzarski znowu oficyalistą. Miał powierzony sobie wyższy dozór lasu i niższych strożów jego. Rzadko mu się udało spędzić z czoła chlebodawczyni swej zmarszczki niezadowolenia, a chłopu nieraz narazić się musiał... Ale chleb był i przyodziewek, troska nie osiadała często na duszy. Dopiero zawierucha powszechna, porywając męża Nędzarskiej do celki klasztornej, a suchoty córkę pod pagórek zdobny w krzyż, rozstroiły jej życie na dwie połowy: wspomnienie lepszych dni i dolę obecną, co srogie ślady na duszy i ciele pozostawiała.

Mąż później wrócił. Chlebodawczyni, zgodnie z zasadą swą dzielenia się z braćmi szaraczkowymi piwem, nawarzonem przez nich, nie znalazła dlań w całych dobrach dziedzicznych żadnego zajęcia.

Wypłakiwała Nędzarska oczy za mężem, tusząc, że sam powrót jego wystarczy do rozpędzenia ciężkich, posępnych i w mózg dokuczliwie wżerających się myśli. Gdzie tam!...

Syn starszy na zawsze pożegnać się musiał z mundurkiem, a opuściwszy ekonoma, wdziać natomiast kierpcie łyczane, przewiesić przez ramię strzelbę i dni całe, a czasem noce, trawić na czatowaniu w lesie, a wszystko za 10 rubli miesięcznie, inaczej nie miałby chleba!... Ile pięści, zaciśniętych mściwie, drgnęło w powietrzu, ile słów zawarczało, krew ścinających w żyłach... Matczynego serca nie oszukać, znane jej były z praktyki mężowskiej sceny takie. Nieraz w snach widywała członki tylko poszarpane i krwawe syna swego... Jawa — to dalszy ciąg zmór podobnych!

Taka to była szkoła jej syna i takich uczuć serce jej było pełne...

Córkę drugą ospa ścięła, mszcząc się za wystawienie przeciw sobie w powiecie dwóch lekarzy na papierze, jednego rzeczywistego, czwartego zaś, co, jak brytan, strzegł progu dziedziczki umitrzonej i ani kroku nie zrobił tam, skąd jęki konających dochodziły. Szkoda było dobrze płatnej posady lekarza nadwornego! Gdyby w fałdach swych sukien przyniósł chorobę, a ta spoczęła sobie na uroczych twarzyczkach panienek dostojnych i paniczów, straciłby ją niepowrotnie.

Młodszego syna, ku wielkiej boleści Nędzarskiej, również ominęły szkoły. Jakiś stryjeczny stryjaszek, co, jak meteor, nawiedził dom jej męża w czasie poszukiwań zajęcia, nauczył go rachunków. Matka mu udzieliła tego, co sama z pensyi wyniosła: wymawiania wyrazów francuskich i gry na fortepianie. Miał chłopiec zdolność, szczególnie do muzyki. Serce macierzyńskie rosło, słysząc, jak po dźwięku samym, nie patrząc na klawiaturę, poznawał, co to za litera.

— Och, żeby też to wuj mógł nim pokierować!... — wzdychała matka.

Brat jej, jak wiemy, z lekcyj muzyki się utrzymywał i głośnym był na cały Żydzińsk z talentu swego i z tego, iż przyjmował udział w duecie z jakąś gwiazdą artystyczną, wieńcem sławy opromieniającą kraj ojczysty...

— Zdolne dzieci, ani słowa! — zawnioskowywał czasem ktoś ze znajomych. Już to we krwi Nędzarskich musi leżeć...

Wtedy biedna kobieta o troskach zapominała.

— Chłopca do instytutu wartoby oddać — szepnął czasem kto do ucha ojca.

Uśmiechał się z zadowolenia.

(D. c. n.).

wie przeszło tygodnia. (W więzieniu w Laufen umarło na cholerę z 1873 w przeciągu dwóch tygodni z 522 więźniów 82, tj. 16%).

W tych wypadkach panowie kontagioniści sądzą, że niepodobna przypuszczać nic innego, jak tylko to, iż zaraza pochodzi od chorych. Ale właśnie statek „Britania" przedstawił najlepszy dowód zupełnie przeciwnego wniosku. Nie mogąc w tych strasznych warunkach pozostać na otwartem morzu, powrócił do Warny, ale tu chorych zamiast do szpitali przeniesiono, pomimo opozycyi kapitanów, na inne niezarażone okręty. Od tej chwili zmniejszyła się szybko ilość zasłabnięć, a cholera nie udzielała się przytem osobom, będącym na owych statkach. Dla mnie jest to prostym, nieodpartym nakazem logiki, albo też zdrowego ludzkiego rozsądku twierdzić, że zaraza na „Britanii" nie pochodziła od znajdujących się na niej cholerycznych, gdyż w takim razie ci ostatni musieliby podobnież działać i na innych statkach. Podług mnie załoga wywiozła z sobą cholerę na pełne morze, ze stałego lądu, z Warny.

Gdzież więc jest silniejsze naciąganie faktów, czy po stronie kontagionistów, czy też lokalistów?

Czasami zdarzyć się może, że materya zarazkowa przenoszona bywa ze stałego lądu na okręt i że, jeżeli pozostaje na rzeczach lub w jakiemś opakowaniu dłużej niż 20 dni (najdłuższy przyjęty czas trwania inkubacyi), wtedy mogą zostać zarażone osoby, które nie wychodziły wcale na stały ląd, jak to też dzieje się nieraz wyjątkowo przy febrze.

Co do zachowania się cholery wobec wody, to Virchow widzi w odnalezieniu przez dra Kocha bacillusa cholerycznego w jednym *z tanków* (stawów) Kalkuty „drastyczne" potwierdzenie swego zdania. Ale dla stronników teoryi wpływu wody do picia lepiej byłoby, gdyby fakt ten nie był ogłoszonym, gdyż świadczy on tylko o pewnym stopniu braku krytyki i o uprzedzeniu. Koch robił badania swoje dopiero wtedy, kiedy cholera panowała już w sąsiedztwie zbiornika. Ale okoliczni mieszkańcy nietylko pili zeń wodę, ale kąpali się też w nim i prali swoją bieliznę. Musiał więc tu znajdować się bacillus przecinkowy, ale nie wiadomo, czy był już w wodzie przed ukazaniem się wypadków cholery w okolicy zbiornika; to tylko dowiedzionem zostało, że pływał w wodzie po wypraniu w niej bielizny cholerycznej i że znikł z niej po ustaniu cholery, t. j. kiedy nie było już bielizny cholerycznej do prania. Bieliźnie przypada obecnie główna rola w profilakcyi kontagionistów, opierających się na odkryciu Kocha. Jednakże muszą panowie ci zgodzić się, że pielęgnowanie chorych, którzy w wypróżnieniach swoich wydzielają dojrzałe okazy bacillusa, nie wpływa na udzielanie się zarazy ani lekarzom, ani pomocnikom. Zazwyczaj nawet bywali oni, jak również grabarze, dziwnie oszczędzani przez nią. Jeżeli się zdarza nawet czasami wyjątek w tej mierze, nie daje to nam prawa przypisywania przyczyny zarażenia się wypróżnieniom chorego, albo też grzebaniu ciał zmarłych. W szpitalach, w których choleryczni są przyjmowani i pielęgnowani wraz z innymi, dozorujący i inni chorzy nie ulegają słabości, a zarażają się wtedy tylko, kiedy szpital sam staje się miejscowością choleryczną. Tym sposobem więc bielizna nie zaraża bezwzględnie, ale o tyle tylko, o ile pochodzi z miejscowości cholerycznej, albo też znajdowała się w niej. Podczas epidemii w r. 1854 chory z Monachium przybył do Stuttgartu i tam zaraził 3 osoby: swoją dozorczynię, kobietę, piorącą jego bieliznę i męża tej kobiety, kontagioniści opierają się na tem, jako na dowodzie bezpośredniego zarażania zdrowych przez chorych, zapominając spytać, dlaczego te 3 zarażone osoby nie udzieliły nikomu więcej choroby? Jeżeli jeden wypadek wytwarza 3, w takim razie te 3 powinny wytworzyć 9! Ale cholera zginęła w Stuttgarcie po tych trzech wypadkach. Ponieważ bielizna stuttgarczyków była niewinną, tylko monachijska zarażała, dlatego też przypuszczam, że do bielizny tej przylgnął warunek miejscowy monachijski, którego brakło w Stuttgarcie. Cholerycznych, jako też ich bieliznę, uważam za zarażające o tyle jedynie, o ile pochodzą z miejsc zarażonych.

Faktyczne istnienie niezdolności do przyjmowania epidemii cholery wielu miejsc, między innemi wielkich nawet miast, jest zupełnie niewytłomaczone z punktu widzenia kontagionistów. W r., 1849, kiedy cholera panowała w Marsylii i Paryżu, Lyon, chcąc wywalczyć sobie niepodległość, powstał. W skutek tego został oblężony, a następnie zajęty przez wojska, które przyniosły cholerę z Marsylii i Paryża. Ale ograniczyła się ona na przybyłych z ognisk cholerycznych żołnierzach, nie udzielając się mieszkańcom Lyonu, które posiadało wówczas najgorszy, jaki sobie wyobrazić można, sposób zaopatrywania w świeżą wodę i w którem brud i nędza panowały, jak nigdzie.

Równie trudną do wytłomaczenia dla kontagionistów jest ta okoliczność, że występowanie cholery, zarówno w Indyach, jak i u nas, zależne jest tak dalece od pewnych pór roku, iż nawet wrażliwe na nią miejscowości bywają dotknięte tylko czasowo. Jedną z najbardziej pocieszających i najciekawszych własności bacillusa cholerycznego jest ta, że w suchym stanie żyje on zaledwie 2 godziny. Ale najgodniejszą uwagi staje się okoliczność, że w stałej ojczyźnie cholery, w dolnym Bengalu, rozwija się ona całkiem przeciwnie, że w Kalkucie najczęściej zdarzają się wypadki podczas gorącej i suchej pory roku, (w marcu i kwietniu) a najrzadziej podczas dżdżystej i zimnej (w lipcu i sierpniu). W Europie zaś pory roku, w których grunt jest suchy, najbardziej sprzyjają cholerze i odwrotnie.

Brauser zebrał podług miesięcy wszystkie wypadki cholery, jakie zdarzały się w królestwie pruskiem od r. 1848 do 1860 i okazało się, że z wypadków śmiertelnych w tym czasie przypadło na miesiące:

Kwiecień	112	Październik	35,271
Maj	446	Listopad	17,630
Czerwiec	4.392	Grudzień	7,254
Lipiec	8.480	Styczeń	2.317
Sierpień	33,640	Luty	842
Wrzesień	56,561	Marzec	214

Gdy mowa już o miejscowem i czasowem usposobieniu, chciałbym zwrócić uwagę na jedną jeszcze okoliczność, której kontagioniści nie zdają się wcale spostrzegać, a mianowicie na raz krótszy, to znów dłuższy, na cięższy lub też lżejszy przebieg epidemii, a także na zupełne ustawanie i wybuchanie w niektórych miejscowościach, np. w Monachium, gdzie cholera, panująca od lipca 1873 do końca kwietnia 1874, podzieliła się na dwie ściśle odgraniczone epidemie: na małą stosunkowo, letnią, której punkt kulminacyjny przypadł w drugiej połowie sierpnia i większą daleko zimową, która panowała najsilniej w pierwszej połowie grudnia. Skąd pochodziło to niezwykłe rozdwojenie się zarazy w r. 1873 i czem wytłomaczą ją kontagioniści? Czy cholerycznym zabrakło w sierpniu wypróżnień, czy też one wraz z bielizną powędrowały gdzieś, powracając dopiero napowrót w połowie listopada? Lokaliści wiedzą, że w pierwszej połowie sierpnia przypadło wydarzenie, które samo przez się może być uważanem za czasowy warunek do rozwoju cholery, a mianowicie taka obfitość deszczu (171 milimetra wysokości), jaka od czasu, kiedy zaczęto wymierzać daszcz, nie była jeszcze zauważoną. Wywarł on w Monachium takiż sam wpływ na cholerę, jaki wywierają na nią coroczne w Kalkucie południowo-zachodnie monsuny i dopiero po ustaniu wyjątkowej, długotrwałej suszy, która nastąpiła po tych deszczach, rozwinęła się cholera w Monachium w epidemię zimową.

Jeżeli jednak zawleczony zarazek choleryczny może, dawszy przedtem znaki życia, pozostawać przez kilka miesięcy uśpiony w jakiejkolwiekbądź miejscowości i potem dopiero budzić się, tedy zdrowy rozsądek każe nam przypuszczać, że tenże sam zarazek choleryczny, zawleczony w daną miejscowość, może pozostawać w niej długo uśpiony, chociaż nie dał przedtem żadnych znaków życia. Wyjaśnia nam to często pojawianie się epidemij miejscowych, których pochodzenia nie można udowodnić wcale zaniesieniem na krótko przed wybuchnięciem ich zarazka przez chorych, albo też przez bieliznę. Stosunki handlowe przeniosły już prawdopodobnie na pół roku wcześniej do Egiptu i Francyi zarazek cholery, zanim on znalazł warunki, niezbędne do swego czasowego rozwoju. Z tej to prostej przyczyny wszystkie kordony i dezinfekcye, mające za punkt wyjścia tylko chorych, przyjdą zawsze za późno. Pokaże się w przyszłości, że cholera dostanie się też do Włoch, jakkolwiek kraj ten występuje teraz z równą surowością przeciwko wszystkiemu, co pochodzi z Fracyi, z jaką w zeszłym roku Francya powstawała przeciwko wszystkiemu, co pochodziło z Egiptu.

Virchow domaga się od rządów utworzenia ścisłego kordonu w Egipcie, a to dla przecięcia cholerze dostępu do Kanału Suezkiego, tej wodnej bramy Europy. Ale ta owa brama została, o ile wiem, otwartą w r. 1869, a cholera odtąd nie nawiedzała Europy częściej, aniżeli dawniej. I ja też wierzę w to, że stosunki mieszkańców przyczyniają się do rozszerzania cholery po za Indye i dla tego też sądzę, że będziemy wolni od zarazy, jak tylko stosunki te zmniejszą się znacznie i osłabną, ale zwykły nadzór nad nimi uważam za daremny trud.

Odkrycia przez Kocha znajdującego się stale w kiszkach chorych bacillusa uważam za nader ważne; jest on członkiem istotnym procesu cholerycznego, ale, ponieważ związek jego z czasowem i miejscowem usposobieniem musi być dopiero wynaleziony, niepodobna więc jeszcze opierać na nim stosowania praktycznych środków ochronnych. Tymczasem wiemy, że o ile one uwieńczone zostały widocznie pomyślnym skutkiem, oparte były na podstawie lokalistycznej, a nie kontagionistycznej.

W części miejscowe usposobienie polega na zanieczyszczeniu dziurkowatego gruntu naszych miejsc mieszkalnych płynnymi odpadkami ludzkiego gospodarstwa, tymi roztworami pokarmowymi dla niższych organizmów, do których należy w każdym razie niewynaleziona jeszcze forma bacillusa przecinkowego. Anglia nawiedzaną była w 3-im, 4-ym i 5-ym dziesiątku lat b. stulecia przez równie silne epidemie, jak i stały ląd. Ażeby zamknąć cholerze wstęp do kraju, nie zaprzestano stosunków handlowych, ale przeciwnie pozwolono im swobodnie się rozwijać, a w zamian za to starano się zadośćuczynić w własnym kraju wszelkim wymaganiom czystości i porządku. Już epidemie cholery w 6-ym dziesiątku lat b. stulecia dotknęły Anglię bardzo mało, a w 7-ym, kiedy ląd europejski nawiedzionym był w tylu punktach przez cholerę, Anglia pozostała jednak wolną od epidemii. Wątpię, aby pomyślny ten rezultat wypływał tylko z braku usposobienia czasowego — podług mnie był on raczej wynikiem zmniejszenia skłonności miejscowej, ponieważ i na stałym lądzie można zauważyć w wielu razach dodatni wpływ kanalizacyi i należytego zaopatrywania mieszkańców w świeżą wodę na częstość, zależnych od gruntu, chorób zakaźnych, jak: tyfusu brzusznego i cholery. Zgadzam się zupełnie z Virchowem, że anglicy winni zaprowadzić w Indyach i Egipcie te same ulepszenia, które tak dobrze

skutkowały w Aglii; ale nie chciałbym ryzykować wymagania wielkich ofiar dla przeprowadzenia ścisłej kwarantanny na mocy zapewnienia, że wówczas usuniemy zupełnie cholerę z Europy. Mógłby mnie spotkać los p. Fauvel, stanowczego kontagionisty, który oświadczył przed dwoma laty, że Francya nie będzie nigdy bramą wjazdową dla cholery w Europie, jeżeli tylko rząd wyda rozporządzenia, zgodne z jego radami. Rząd wydał je — i oto w zeszłym roku, kiedy cholera panowała w Egipcie, przepisy zdawały się wybornie skutkować; dzisiaj jednakże wybuchła cholera w Tulonie, zanim jeszcze epidemia ukazała się w któremkolwiekbądź z wybrzeży Śródziemnego morza. Dowodzi to, że zarządzona w Tulonie kwarantanna nic nie pomogła i gotów jestem wróżyć, że pomimo kwarantanny, wybije fatalna godzina i dla Neapolu *), może w tym roku, a może dopiero później. Stosunki handlowe, które pozostawiły w Tulonie zarazek cholery, zaniosły go też prawdopodobnie i do Neapolu.

Zupełne przekonanie o skuteczności kwarantanny skłoniło też p. Fauvel do uważania cholery w Tulonie za nieazyatycką — gdyż ta przecież nie mogła się dostać już podług jego zdania, do Francyi—i dlatego też boję się, że p. Virchowa spotkać może w części los p. Fauvel, chociaż przeprowadził on ściśle kordony przy kanale Suezkim.

M. Pettenkofer.

Z Czerwonej Rusi.

Lwów, 20 września.

Pierwszy wiec prowincyonalny w Dolinie. — Wiec djaków ruskich w Buczaczu. — Ruska szkoła ćwiczeń we Lwowie i jej kierownik.—Sesya sejmu krajowego.— Z literatury rusińskiej.

Przed miesiącem (21 sierpnia) odbył się w niewielkiem miasteczku powiatowem Dolinie pierwszy prowincyonalny wiec rusiński, zwołany przez tamtejsze stowarzyszenie polityczne „Rada narodna.“ Na wiec ten zgromadziło się przeważnie z dolińskiego, bolechowskiego i kałuskiego powiatów około 500 włościan. Ze szczególną uwagą zgromadzeni słuchali obszernych referatów, osobliwie zaś z wielkim zapałem powitali wykład prof. i posła na sejm krajowy Romańczuka, który mówił o sprawie miejscowej, i właśnie dlatego wszystkim zrozumiałej, a w życiu podgórskiego ludu bardzo piekącej, mianowicie o ochronie pól i mienia ludności od dzikiego zwierza. Z powodu mylnie pojętych ustaw, starostwa i żandarmi u nas poodbierali włościanom strzelby, wydzierżawiają polowania ludziom wcale nie myśliwym, przez co dziki zwierz, doznając tak przemożnej opieki ze strony władz, mnoży się w zastraszający sposób i robi coraz większe spustoszenia. Szkody, poniesione przez ludność górską i podgórską w ostatnich latach od dzików, wilków i niedźwiedzi, dochodzą wartości kilkudziesięciu tysięcy złr., nie licząc w to wielu okropnych wypadków śmierci bezbronnych włościan, napadniętych przez rozżarte bestye. To też nie dziw, że referat p. Romańczuka powszechne między ludem obudził zajęcie, a główne jego wywody zostały ujęte w formę wniosku, przedstawionego sejmowi krajowemu, który go też pewnie uchwali. Oprócz p. Romańczuka przemawiali na wiecu dolińskim profesor wszechnicy lwowskiej, dr. Aleksander Ogonowski o austryackiej ustawie konstytucyjnej i o środkach zapewnienia z niej pożytku ludowi. Po nim Leonid Zakliński zastanawiał się nad tem, co czynić należy, by ziemia nie przechodziła w obce ręce, a nakoniec Iwan Franko podał ogólny zarys organizacyi spółek i towarzystw rusińskich, któreby dążyły do podniesienia ludu rusińskiego w Galicyi na polu ekonomicznem, politycznem i umysłowem. W obradach nad każdym z tych referatów prócz inteligencyi zabierali głos także włościanie; kilku z nich wystąpiło i z samoistnymi wnioskami, posiadającymi doniosłość bądź to dla tej tylko miejscowości, bądź też i szerszą. Wogóle wiec doliński był znakomitym probierzem rozbudzenia umysłowego ludu rusińskiego w jednym z najustronniejszych zakątków kraju—trzeba bowiem wiedzieć, że właśnie powiaty doliński i bolechowski wcale nie należą do najoświeceńszych — a mimo to udał się on bardzo dobrze i śmiało powiedzieć można, że rzucił dużo zdrowego ziarna na urodzajną glebę umysłów wieśniaczych.

Niemniej ciekawem znamieniem czasu był nieco wcześniejszy wiec djaków (t. j. pieweów cerkiewnych) w innym zakątku Rusi halickiej, w miasteczku Buczaczu. Nędzne jest dotychczas stanowisko tych „sług kościoła,“ którzy, bądź co bądź, przedstawiają żywioł najoświeceńszy śród masy włościańskiej. To też nie dziw, że już w samym początku narodowego odrodzenia rusinów galicyjskich w r. 1848 i 49 djacy byli jedynymi z pierwszych, którzy publicznie zaczęli dopominać się o poprawę swego losu. W r. 1852 powzięli nawet myśl założenia towarzystwa wzajemnej pomocy, lecz panująca wówczas reakcya 'znać przeszkodziła wykonaniu tego zamiaru. Dopiero w roku bieżącym uśpiona myśl obudziła się na nowo. Zebrani w Buczaczu djacy z jednego powiatu uchwalili wydać odezwę do towarzyszów w całym kraju, by gromadzili się naprzód po powiatach i radzili nad polepszeniem swego bytu, a następnie z gotowymi wnioskami przybywali na ogólny wiec, który ma się odbyć w przyszłym roku dla ostatecznego porozumienia się i założenia oddawna upragnionego towarzystwa wzajemnej pomocy.

Uwagę publiczności rusińskiej nietylko we Lwowie, ale i w całej Galicyi zajmują obecnie dwie sprawy fatalne, tyczące się szkolnictwa, a charakteryzujące w sposób bardzo jaskrawy tutejsze stosunki. Pierwszą jest sprawa ruskiej szkoły ludowej we Lwowie. Mieszka tu około 13 tysięcy osób obrz. gr. kat., z których wprawdzie tylko około 3 tys. zapisano w ostatniej konskrypcyi jako używających w rozmowie języka rusińskiego. Czy 3, czy 13 tys. — dość na tem, że rusini oddawna już dopominają się od gminy miejskiej założenia szkoły ludowej ruskiej we Lwowie. Gdy atoli rada gminna kilkakrotne prośby ich systematycznie odrzucała, udali się aż do rady szkolnej krajowej, która, opierając się na paragrafie konstytucyjnym, że w Austryi nikogo nie można zmuszać do pobierania nauk w języku dla niego obcym, przyznała im słuszność. Lecz dla rady m. Lwowa orzeczenie to było nieobowiązującem; wytoczyli więc rusini sprawę swoją przed najwyższe w państwie forum — przed trybunał państwowy w Wiedniu, który, rozebrawszy sprawę, również stanął po ich stronie i polecił ministeryum oświaty postarać się o wykonanie uchwały rady szkolnej krajowej. Lecz i to jeszcze nie złamało oporu lwowskiej rady miejskiej, która postanowiła do upadłego bronić się przeciw równouprawnieniu żywiołu rusińskiego w mieście stołecznem. Chociaż uchwała najwyższego trybunału ma ważność zasadniczą, równorzędną z prawem, to jednakże nie posiada on żadnej władzy wykonawczej, przeciw zaś rozporządzeniom rady szkolnej i ministeryum oświaty rada miejska zawsze umiała wynajdywać jakieś kruczki, rekursy i odwołania, które chociaż z góry przegrane, z roku na rok przewlekały sprawę.

Tak rzeczy stały aż do bieżącego roku. Rusini nigdy nie zapominali o swoich dotychczasowych zdobyczach i ciągle dopominali się o szkołę, rada miejska zaś, udając chęć załagodzenia tej sprawy, za kulisami ciągle ją umarzała i przewlekała. Wreszcie na nieustające zażalenia rusinów ministeryum zagroziło egzekucyą, wprowadzeniem ruskiej szkoły na koszt gminy. To skłoniło radę do niejakich ustępstw. Oto uchwalono przy jednej z istniejących miejskich szkół ludowych utworzyć klasy równoległe z wykładowym językiem rusińskim, spodziewając się, że albo do tych klas nie zapisze się dostateczna ilość dzieci (tem więcej, że uchwała o ich otwarciu zapadła zaledwie na kilka dni przed rozpoczęciem wpisu uczniów, a w takim razie roszczenia same przez się upadną, gdyż będzie im można namacalnie pokazać, iż nie ma uczniów dla owej żądanej szkoły; albo też, jeżeli zapisze się dostateczna ilość dzieci (najmniej 25 do jednej klasy), to wówczas rusini poprzestaną na paralelkach i nie będą już domagać się szkoły osobnej. Lecz rachuba zawiodła. Naprzód bowiem do czterech klas równorzędnych odrazu zapisało się dzieci daleko wtęcej, niż tego wymaga ustawa, a powtóre, rusini wcale nie myślą zadowolić się się tem ustępstwem, które zresztą jest tylko prostem zastosowaniem obowiązującej oddawna ustawy, lecz za inicyatywą radnego miejskiego, prof. Wachnianina, zamyślają na przyszły tydzień zebrać się na naradę, co począć dalej w celu wywalczenia ruskiej szkoły od uporczywej rady gm.

Jednocześnie toczy się inna walka. Od kilku lat istnieje we Lwowie również z trudem wywalczona ruska szkoła ćwiczeń. Kierownikiem jej jest p. Tytus Budzynowski, rusin z rodu, patentowany wynalazca „najpraktyczniejszej laski spacerowej,“ człowiek bez charakteru i zdolności nauczycielskich, który postawił sobie za zadanie biciem, złem prowadzeniem i niedbalstwem zdyskredytować zakład, porozpędzać dzieci i zniechęcić rodziców, by w ten sposób przyprowadzić go do upadku. Liczne fakty nadużyć tego człowieka ogłaszane były w dziennikach rusińskich, podnoszono publicznie na wiecach i zgromadzeniach, przedstawiane radzie szkolnej krajowej, nie skłoniły przecież jej do rzeczy tak prostej i naturalnej, jak wytoczenie śledztwa i sprawdzenia lub zbicia tych zażaleń. P. Budzynowski przeciwnie, ciesząc się protekcyą „grubych ryb“ z rady szkolnej, baczących więcej na polityczne przekonania, niż na pedagogiczne zdolności nauczyciela, postępuje sobie coraz zuchwalej i bezczelniej, narażając przez to szkołę na zupełny upadek. Przy wpisach b. r. po prostu wypędzał dzieci, odradzał rodzicom zapisywać ich do szkoły, tak że rusińskie towarzystwo pedagogiczne musiało odnieść się w drodze telegraficznej aż do ministeryum oświaty, skąd dopiero poruczono władzom szkolnym wdać się w tę sprawę. Wskutek takiego postępowania p. Budzynowskiego wspamniane towarzystwo uważało za swój obowiązek wykluczyć go z liczby swych członków, co jednak wcale nie zaszkodziło temu panu w opinii jego protektorów.

Żeby dokładnie dać poznać czytelnikom *Prawdy*, jaką to potęgą w galicyjskiem szkolnictwie jest protekcya, opowiem fakt następujący. W miasteczku Bóbrce pracuje od lat 3 młodsza nauczycielka, Julia Sznajdrówna, utalentowana autorka kilkunastu poezyj rusińskich, pracownica zdolna i przejęta zamiłowaniem do swego zawodu. Do tejże 4-klasowej szkoły przysłano przed rokiem młodego, niegzaminowanego seminarzystę, p. K., na młodszego nauczyciela. Panicz, wpadłszy w złe towarzystwo, zaczął „opuszczać się,“ zaniedbywać swe obowiązki, tak że wreszcie rada szk. okręgowa ujrzała się zmuszoną przenieść go na wieś, by wyrwać od zgubnej kompanii. Lecz oto sekretarz starostwa, przyjaciel od serca

---

*) Zwracamy uwagę, że słowa te, jako pisane w połowie sierpnia, t. j. wówczas, kiedy nie było jeszcze mowy o cholerze we Włoszech, są niejako proroczemi.

owego panicza jedzie do p. Loebla, wiceprezydenta namiestnictwa, a swego kolegi szkolnego, i prosi go o protekcyę dla pupila. P. Loebl, pomimo swej wysokiej godności w hierarchii krajowej, jedzie we własnej osobie do Bóbrki, trudzi się na posiedzenie rady szkolnej okręgowej i sam upraszа panów radnych, by odwołali swoją uchwałę. Lecz o zgrozo! Rada okr. bobrecka nietylko nie przychyliła się do prośby owego dygnitarza, ale jeszcze raz zatwierdziła swoją uchwałę, przenoszącą rzeczonego seminarzystę na wieś, o kilka mil oddaloną od Bóbrki. Cóż robi dygnitarz? Oto kaptuje przewodniczącego rady szkolnej okręgowej, a ten, unieważniając podwójną uchwałę rady, pozostawia p. K. w Bóbrce, a zamiast niego wydala z tej szkoły p. Sznajdrównę i wyznacza jej posadę w jednej wiosce, w której wcale szkołę niema! Czyż nie ironia! I gdy nieszczęśliwa dziewczyna, tak nagle i bez przyczyny wyrzucona z kolei swego cichego i pracowitego życia, utrzymująca swą pracą matkę i dwóch braci, zjawia się we Lwowie, by się dopomnieć u władz o swe prawo, wszyscy ściskają ramionami, mówiąc, że jeżeli to p. Loebl uczynił, to już temu nikt nie poradzi.

Nowy okres sejmu krajowego, oczyszczonego zapomocą niesłychanych manipulacyj wyborczych z rusinów, chłopów i wogóle z żywiołów choć napół opozycyjnych, po szumnych przeszłorocznych początkach już obecnie w drugiej sesyi zaczyna w Panu zasypiać. Prawie połowa posłów jest nieobecną, tak że ledwie z ciężką biedą można zebrać komitet potrzebny dla odgrywania tej komedyi, która się nazywa posiedzeniami sejmowemi. Dziś nawet i tylu ich nie było, a posiedzenie dla braku kompletu w połowie musiało być przerwane.

Myron.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Antoni Edward Odyniec **Wspomnienia z przeszłości**, opowiadane Deotymie. Warszawa, Gebethner i Wolff.

Krótka dziennikarska recenzya nie może rozstrzygać każdego szczegółu książki, ani uzasadniać dokładnie swych zdań; nie może — jak właściwa krytyka — dopełniać pracy autora. Chodzi tu głównie, lub nawet jedynie o wypowiedzenie wrażeń i sądów, ażeby czytelnik wyciągnął wniosek: czytać, czy nie czytać danego dzieła. Wobec opowiadań Odyńca rada moja na powyższe pytanie brzmi twierdząco. Mówię to z góry, bo z orzeczeń o częściach składowych pracy mógłby czytelnik dojść do odmiennego zdania. *Wspomnienia z przeszłości* są ciekawe i zasługują na to, aby je poznać ze względu na przedmiot, nie zaś na wykonanie.

Odyniec opisuje stosunki swoje ze wszystkiemi niemal znakomitościami literatury romantycznej, zaczynając od Brodzińskiego, kończąc na Polu.

Plejada ludzi, których najwłaściwiej określa słowo *wieszcz*, znana jest nam przedewszystkiem pod postacią bogów olimpijskich, stojących na szczytach natchnienia w obłokach sławy i naszych uniesień, z hymnami nadziei, tryumfu, lub gromami potępienia i rozpaczy na ustach. We wspomnieniach ich rówieśnika i towarzysza widzieć możemy zwykłych, może nieco tylko oryginalnych śmiertelników, w szlafrokach, że tak powiem, z fajkami w ustach, w pogadankach towarzyskich; dostrzegamy w nich zwykło nasze wady, słabostki, namiętności: kochają, kłócą się, godzą, zazdroszczą. Historykowi, krytykowi literackiemu, trudno odtworzyć życie w ścisłem znaczeniu tego słowa. Z odległości można dokładnie czasem oświetlić przeszłość, można wydobyć wierne zupełnie rysy, postacie, ugrupowanie ludzi, ale będzie to zawsze albo arcydzieło prawdy i piękna z figur woskowych, albo najwyżej „żywy obraz;“ ażeby nadać ruch osobom umarłym oddawna, trzeba czuć, myśleć jak one, trzeba roznamiętniać się tam, gdzie one się roznamiętniały; nienawidzieć ich nienawiścią, kochać ich miłością.

Literatura świata pamiętniki takie posiada, i w naszej wskazać by można było książki, malujące przeszłość ze wspomnień, od których oderwać się nie można, które interesują, porywają, wstrząsają, nawiązują nić łączności między dawnemi i nowemi laty. Pracę Odyńca pragniemy chwilami położyć i nie wrócić do niej więcej. Nie jest ona tak nudna, aby to miało ją charakteryzować, ale nie jest wcale zajmującą. Monotonność nuży, nie pozwala zachować się czytelnikowi właściwie wobec różnych rodzajów zjawisk i wypadków, jakie autor opowiada. Ton gawędy jest jednaki prawie wtedy, gdy opisuje śmierć przyjaciela, lub żartuje ze swej słabości do panienek.

Jest to pierwsza wada, osłabiająca doniosłość wspomnień, najogólniejsza, rozlewająca się na każdą stronnicę; za nią idzie cały szereg innych.

Naprzód treść jest taka, że niepodobna ani na chwilę zapomnieć o osobie autora. Niema chyba między nami człowieka, w którego życiu jakiś utwór Odyńca był rzewnem, uroczystem i uroczem wspomnieniem, jasnym słupem, oznaczającym zwrot w uczuciach i myślach; ażeby pchnął do szaleństwa lub na drogę lepszego życia wprowadził. Słowem dla społeczeństwa Odyniec nie jest nawet cieniem tego, co, nie mówię już Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, ale Goszczyński, Syrokomla, Kraszewski, Jeż, w których dziełach zaczytywaliśmy się, zapominając o egzaminach, lub o innej obowiązkowej pracy; w bohaterkach których kochaliśmy się, którzy tworzyli z nas obywateli. Przeczytało się czasem z przyjemnością jakiś wierszyk, rzadko kiedy dwa naraz, a większe prace, dramaty, odstraszały już samą ilością osób działających. Ze względu na przeszłość można się było spodziewać, że towarzysz Mickiewicza ze skruchą pokutować zacznie i albo czynami swą winę odkupi, albo w zapomnieniu czekać będzie na przebaczenie. Zamiast tego, widzimy go pnącego się na piedestał patryarchy i z uroczystem drżeniem w głosie przemawiającego w imieniu Mickiewicza. Czy rzeczywiście stosunki naszych wielkich poetów do ich żyjącego jeszcze kolegi, były takie, jak on je nam przedstawia, to jeszcze wielkie pytanie. Natręctwo i pewna — mówiąc najgrzeczniej — niedelikatność względem ogółu, mogła mieć miejsce równie i względem z serdecznych natury wieszczów, są na to bezpośrednie dowody w listach nawet przez O. drukowanych. W każdym razie to pewna, że Mickiewicz, autor artykułów w *Pielgrzymie*, miałby dziś tylko słowa bardzo gorzkiego wyrzutu, a może i strasznego przekleństwa dla towarzysza niegdyś w podróżach włoskich. To też jest to nieuniknione, że większą część czytelników drażni ciągłe, od tak dawnego już czasu wyzyskiwanie znajomości z Mickiewiczem. Przecie to nie jest jeszcze słuszna racya do patryarszego stanowiska; Mickiewicz w ciężkich chwilach lubiał także towarzystwo krotochwilnego Służalskiego; dotąd tylko jeden Stańczyk i to po śmierci dosłużył się w historyi do zaszczytnego stanowiska orędownika partyi.

Gdyby Odyniec miał należyte pojęcie o tem, czem był i czem jest wśród nas, tobyśmy tylo nie słyszeli wrzasków o czci dla niego, nie irytowałby nas i nie obniżał wartości książki ton przemawiania. Nic nie można mieć przeciwko temu, jeżeli „towarzysz mistrza,“ z „wieszczką natchnioną“ na kanapie lub w fotelu, w buduarze lub salonie prawią sobie komplementa i upajają się własną wielkością, ale gdy głosy wzajemnej adoracyi przedzierają się do druku, gdy napuszoność i pękająca aż z rozdęcia pycha przegląda z każdego wiersza, to przy najgłębszym szacunku dla siwych włosów wyrywają się słowa protestu. Gdyby zresztą w wystąpieniach Odyńca była pycha otwarta, wynikająca z głębokiego przekonania o swych zasługach, oświadczenie: wiem com wart, to doznalibyśmy lekkiej nieprzyjemności jedynie; ale tam jest przytem mnisia obłuda, która niepozwala prac swoich nazywać inaczej, jak ramotami, która wciąż każe powtarzać: jam mały, bardzo mały, jam robak! Jeden z poetów znanych, lecz drugorzędnych, miał raz podobno zapytać: „wiecie czem ja przewyższam Mickiewicza?“ a nieumiejącym odpowiedzieć oświadczył: „pokorą!“ Zupełnie jest toż samo w Odyńcu: wysoko sięgające pożądania i pretensye, źle osłonięte złożonemi w pierożek dłońmi i skromnym opuszczeniem powiek. Wspominając o Słowackim, autor opowiadania Deotymie wciąż gorszy się, że miał on pychę nad lata. To błąd—w młodości człowiek jest bardziej zarozumiałym, z wiekiem, z rozwojem rozumu wada słabnąć powinna, w Odyńcu tymczasem...

Dziwna niekonsekwencya. Sędziwy romantyk do dziś nie może spokojnie mówić o klasykach warszawskich, Osiński, Potocki są dla niego uosobieniem gburowstwa, uważa ich za zawały w życiu narodu, a sam tymczasem punkt w punkt wstępuje w ich ślady. Nie pojmuję, że też nikt z otoczenia starca nie zwróci mu uwagi, iż gromy, rzucane na Osińskiego, obok takich określeń: „gazeciarski krytyk i recenzent“ (Chmielowski), „nowomodny dzisiejszy historyk-pozytywista, odrzucający w ludziach duszę i natchnienie,“ albo takich ustępów: „że zaś łatwo przewidzieć, poda (mniejsza z tem co) może temat do szyderstw pseudo-mądrym i niby modnym doktorom tak zwanej filozofii dzisiejszej: pragnę przytem oświadczyć przy tej sposobności, że nawet same proste obelgi z ich strony, jakie nieraz mnie spotkały, nie za krzywdę lub obrazę dla siebie, ale raczej za zaszczyt uważam,“ — są rażącą śmiesznością, która żadnego znaczenia i wpływu wywrzeć nie może. Osiński był przynajmniej siłą, słuchano go. Odyńca kazania i dogryzki mają takie samo znaczenie jak spienione artykuły proroków z *Wędrowca*: podziałać na nikogo nie są w stanie jako tendencya, bo są od życia daleko, a jako ubożuchne w argumenty i naukę rzucania się niczyjego umysłu nie zbogacą.

Konserwatyzm „towarzysza mistrza“ jest bardzo radykalny i zakrawa czasami na karykaturę powieściową. Utrzymuje np.: „O polowaniu z „naganką,“ będącem dziś w powszechnem użyciu, niesłyszano wtedy nawet na Litwie. Polowanie było wojną, nie rzezią.“

Czyż to nie pocieszne? Wojna myśliwego, wyżła i fuzyi z jednej strony, a zająca lub lisa z drugiej?! Dawniej ludzie mieli dużo czasu i lubili sobie przyjemność rozciągać, rafinować, a Odyniec widzi w tem jakąś wyższość obyczajową!

We wszystkich utworach, gdzie opowiadający występuje jako działacz, powtarza się jedna i taż sama słaba strona: autor z obowiązku niejako jest nadzwyczajnie rozsądnym człowiekiem. Ponieważ szczerość jest konieczną okrasą wyznań, więc można spotkać się z przyznaniem do występków nawet, do wad, do zazdrości, do gniewu, do obłudy, ale nigdy do braku rozsądku. Gdy się stało złe, autor zawsze przedtem mówił coś takiego, co mogło było uchronić od niepomyślnego obrotu rzeczy, przewidywał. Gdy się powiodło przedsięwzięcie, autor je

niechybnie odrazu doradzał. Wynika to stąd, że ludzie wogóle tylko swój sposób rozumowania uważają za jedynie logiczny, ale należy znać tę słabą stronę i unikać jej. Odyniec o niczem podobnem ani pomyślał. On ciągle przewiduje, ratuje ludzi, gromi ich za nieroztropność. Staje się to ckliwem, tem więcej, że nie zawsze czytelnik współczuje rozsądkowi i tendencyom autora (szczególnie gdy ten strofuje za „zapaleństwo!“).

Druga pokrewna temu wada jest niemniej rażącą u Odyńca. Nigdy człowiek nie może wiedzieć dokładnie, jak się na niego zapatrują inni, gdyż delikatność, obawa narażenia się powstrzymuje otwartość, natomiast ciągle się słyszy krytyki, narzekania itp. rzeczy na bliźnich, stąd też każdy zawsze skłonny jest mniemać, że on najlepiej postępować umie z ludźmi, że nie ma w sobie takich stron, któreby innych zrażały.

Dlatego Odyniec jest zawsze z siebie zadowolony, Mickiewicz, Czeczot, Witwicki spiszą się nieraz źle, on, najmłodszy, przyciąga tylko ludzi i z wszystkimi jest w przyjaźni, nikt mu nic nie ma do zarzucenia.

Prócz jednostajności *Wspomnienia* mają w układzie jeszcze jedną organiczną ułomność. Autor wciąż odbiega od przedmiotu, robi to świadomie, ale tem niemniej czytelnik, skacząc z jego szczegółu na drugi, o lat wiele odległy, naprzód musi się ciągle zainteresowywać na nowo, a powtóre traci co chwila pojęcie, gdzie się znajduje. Zdaje mi się, że i autorowi pozwoliło to popełnić parę błędów co do czasu. Pisać on musiał z pamiętnika, gdyż co stronica są daty szczegółowe, na które żadna ludzka głowa by nie starczyła, ale nie zawsze te daty są ścisłe. Tak np. na str. 263 czytamy, że panna Ludwika Mackiewiczówna miała lat jedenaście w 1823 r., ze str. 203 dowiadujmy się, że p. Ig. Chodźko ożenił się z nią w 1825 r.—niepodobna przecie, żeby w 13 roku za mąż poszła.

Mówiąc o niedokładnościach, zwrócić muszę uwagę, że Horain w *Gazecie lwowskiej* za r. 1880 zupełnie inaczej opowiada o pierwszych krokach literackiego zawodu Syrokomli, niż Odyniec we *Wspomnieniach*.

Uroczyste traktowanie wszystkich dawnych kolegów i obowiązkowe zachwycanie się znakomitemi przyjaciółmi nie było zapewne bez wpływu na wierność opowiadania. Szkoda, bo palenie kadzideł dobre jest jedynie przy trumnie. Na str. 153 Odyniec tak mówi o Olesiu (Al. Chodźko): „odsłania cudzoziemcom piękności literatury słowiańskiej, spełniając w ten sposób ową wieszczę przepowiednię Adama itd.“ Otóż Chodźko nie nikomu dziś nie odsłania, naprzód dlatego, że jest chory i rzadko kiedy może zjawiać się na katedrze, a powtóre, że na nudne gawędy jego zajrzy czasem jeden, czasem dwóch polaków przez ciekawość, cudzoziemiec zaś żaden nie chodzi. Ta ostatnia okoliczność jest zresztą bardzo przyjemną, bo na co francuzów zrażać do polskiej lub czeskiej literatury?

Na tem zakończę wyliczanie słabych stron *Wspomnień*, choć można byłoby nazbierać ich więcej, a szczególniej zahaczając o szczegóły, wyrażenia, wykrzykniki. O dobrych stronach nic ogólniejszego powiedzieć się nie da, prócz tego, że przedmiot interesujący. Są drobne rzeczy, fakciki ciekawe, które zapewne historycy, sprawdziwszy, potrafią zużytkować. Do najbardziej godnych poznania części książki należy rozdział o Garczyńskim, tylko że autor dał nam surowy materyał do charakterystyki w faktach i listach, sam zaś jej nie zrobił. A rzeczywiście listy i sama postać Garczyńskiego dziwnie oryginalna, ujemna pod pewnymi względami, w całości jest bardzo urocza.

Ludwik Straszewicz.

LIBERUM VETO.

Odwrócona wiedza. — Nauki przyrodnicze — matematyka — etyka — logika. — Rozmaitość i oryginalność twierdzeń. — Swoboda w myśleniu. — Niewola lekarzów niemieckich. — Nauka w sądzie. — Ziemia przy świetle nowych prądów. — Zaczepka Towarzystwa lekarskiego i monolog obronny dra Ochorowicza. — Urągowisko Goliata i brak Dawida. — Biedactwo zagraniczne. — Lekcya poprawności języka. — Kiedy się wnosi a kiedy nie wnosi. — Zrzędzenie i kilka poprawek.

Niemcy upadli tak nisko, że po prostu wprowadzili naukę nawet do kodeksu karnego. Znowu zdarzył się tam następujący wypadek. Zwykły—proszę zauważyć—zwykły parobek, zraniony nożem, wezwał dra N., który go leczył „starą metodą,“ mianowicie bez użycia środków antiseptycznych. Wkrótce chory zmarł na zakażenie krwi, skutkiem czego doktór z § 222 ustawy kryminalnej został pociągnięty do odpowiedzialności sądowej i skazany. W motywach wyroku usprawiedliwiano karę tem, że „lekarz praktyczny winien stać o tyle na wysokości nauki, ażeby znał i stosował przyjęte w *nowoczesnej* medycynie środki, oraz że w danym wypadku zwykła rozwaga objaśniałaby dra N., iż jego postępowanie musiało śmierć sprowadzić.“ Sąd państwowy apelacyę odrzucił i wyrok zatwierdził. Nadmienić trzeba, że podobne wypadki zdarzają się w Niemczech bardzo często i świadczą o dzikości kraju, który nie umie szanować swobody. Bo co za drakonizm zmuszać lekarza do „stania na wysokości nauki“ i „stosowania środków przez nowoczesną medycynę przyjętych.“ Prawdziwa wolność zostawia nieograniczone prawo wyboru „metod.“ Niech sobie doświadczenia klinik i ich wykazy statystyczne przekonywają, że postępowanie antiseptyczne przy operacyach jest konieczne, jeśli ja o niem nic wiem lub wiedzieć nic chcę (kwas karbolowy ma bardzo nieprzyjemną woń!), zachowywać go nie potrzebuję. Dla czegoż miałbym koniecznie wiedzieć? Wysokość nauki! Czy kodeks myśli, że to wyżyny, na których wierzchołek można wejść, podniósłszy tylko nogę? A preferans, a wint, a wist z licytacyą. Wogóle z którejkolwiek strony rozpatrzymy powyższy wypadek, przyznać musimy, że prawdziwa swoboda w Niemczech ginie. Nie wolno tam ani utrzymywać, że 2 razy 2 — wielbłąd, ale nawet karzą lekarzów, którzy nie znają „przyjętych w *nowoczesnej* medycynie metod.“ Kto wie, czy świat nie biegnie ku ideom Platona i nie złoży swych losów w ręce ludzi najmądrzejszych. Ale my, albo raczej obrońcy prawdziwej swobody w imieniu naszem zatrzymają go niewątpliwie. Żeby medycyna przybierała rolę Temidy, żeby historya, logika, etyka krępowały publicystów — to jest niepodobieństwem. Żadnych więzów! Po co konjugacya polityczne ma być zawsze jednaką: kocham, kochasz, kocha — kochaj, kiedy istnieją słowa nieforemne i można odmieniać: nienawidzę, kochasz, cierpi—wymyślaj?

Niech czytelnicy *Prawdy* nie sądzą, że cały ten wywód jest tylko wylewem dobrego humoru, albo nawet t. z. „Galgenhumoru.“ Bynajmniej! Ponieważ warunki oddziaływają na naturę ludzką, ponieważ zaciera się coraz bardziej w życiu granica między rozumem a bezrozumem, więc wnioskując w sposób powyższy, staję się powaźnem echem czasu. Tyle razy postępowałem tak, jak ów sąd niemiecki, który posadził naukę w trybunale, że dla odmiany dziś zawiesiłem wszystkie jej prawa i przepuściłem przez moją myśl potężny prąd wieku. Prąd ten zapala światła elektryczne, które nam ukazują ziemię całkiem inaczej, piękniej, oryginalniej.

Pomówmy teraz bez poddawania się prądowi czasu.

Wspomniałem dawniej, że nasze Towarzystwo Lekarskie, poruszone teoryą „cholery nerwowej“ p. Ochorowicza, wyłożoną bardzo wesoło w *Kuryerze warszawskim*, wyrzekło uroczyście przeciw niemu: *anathema sit!* Wyklęty za „nieznajomość przedmiotu“ przez ciało poważne i zbiorowe, zaczął się usprawiedliwiać i bronić cytowaniem powag lekarskich tem skuteczniej, że nie zaznaczał ściśle, skąd owe cytaty czerpie. Z wyjątkiem ostatniego sposobu, cała polemika była bardzo naturalną, zasadną, a nawet dla Towarzystwa niebezpieczną. Zapomniało ono bowiem, że „wer A sagt, muss auch B sagen,“ że zaczepiwszy p. Ochorowicza winno albo stanąć z nim do sporu, albo cierpliwie znosić wszystkie jego ataki. Wybrało rolę drugą, czem znakomicie ułatwiło tryumf przeciwnikowi, który, obciąwszy wszystkie głowy zakonowi Eskulapa i przygniótłszy go zwycięską stopą, woła szyderczo: no podnieś się i stań do walki! Trudno — słusznie czy niesłusznie, musimy wawrzyn przyznać apostołowi „cholery nerwowej,“ jeśli Towarzystwo nie zmieni następstw swego pierwszego kroku. Niepodobna istotnie wymagać, ażeby ono ogłosiło urzędowy protest z podpisem Orłowskiego i Szokalskiego, bo taka mitralieza do naukowych starć nie jest właściwą; ale czyż w jego łonie nie ma ani jednego członka, któryby skruszył kopię z p. Ochorowiczem? Jeżeli dr. Thieme tak ostro skrytykował operacyę swego kolegi w sądzie, czemuż by ktoś inny nie zdobył się na odwagę dania lekcyi „dyletantowi“ w piśmie? Nu że panowie. Słyszę prywatnie:

— Czytałeś pan, co ten Ochorowicz plecie w *Kuryerze?*

Inny lekarz:

— I ogół przyjmuje na wiarę te oburzające brednie!

Winnym jest — zważcie — nieszczęśliwy ogół. On ma rozstrzygnąć sprawę naukową, ocenić wartość dowodów i przypuszczeń, oświadczyć się za kontagionistami, lokalistami lub nerwistami. Wprawdzie gromada — to wielki człowiek, ale wiadomo, że jeśli się zejdzie milion ludzi nieznających kunsztu szewckiego, wszyscy razem nie zrobią pary butów. Zamiast więc zwalać winę na ciemny, czy niedomyślny ogół, lepiej otworzyć mądrością namaszczone usta. Mamy przecie aż trzy pisma lekarskie— w nich znaleść się powinien Dawid do pokonania Goliata.

Tymczasem ów filistyńczyk morduje lekarzów medycyny — swoich i obcych. Nie wtrącam się do monologu p. Ochorowicza w przedmiocie cholery, ale nie mogę nie uczcić w nim należytej powagi w traktowaniu takich dudków, jak Koch, Pasteur, Virchow i inni. Złe stopnie, jakiem im nasz badacz stawia, i chłosty, jakie im nielitościwie wymierza, wykazują całą naszą wyższość nad tym rodem liliputów. I to biedactwo śmiało się wyrywać ze swemi głupstwami, nie spytawszy o radę dra Ochorowicza! Te Kochy, Virchowy itd. nawet porządnie rozumować nie umieją. Wstyd — niemcy i francuzi! Fe!

Jeżeli już koniecznie mamy zagranicy pokazywać język, niechże on przynajmniej będzie czysty. Dba o to p. L. S. W. z *Tygodnika ilustrowanego*, ale w napomnieniach swoich przypomina często owych nauczycieli, którzy mówią do uczniów: każdy niebiorący u mnie lekcyj prywatnych jest osłem. W ostatnim numerze *Tygodnika*, śród wielu uwag słusznych, znajduje się taka: „Podobno dziś w Warszawie nikt już nie mówi i nie pisze inaczej, jak „*wnosić* opłatę, *wniósł* składkę, *wniesienie* prenumeraty itd.“ Z tak wkorzenionym zwyczajem walczyć, zaprawdę, jest rzeczą trudną, i wypada tylko dziwić się, jaka konieczność popycha literatów naszych do używania podobnych wyrażeń niepolskich, choć mają pod ręką obfity dobór odpowiednich wyrazów własnych, wiekami utrwalonych...

Czasownik polski *wnosić*, wraz z pochodnymi rzeczownikami, nietylko że nie jest tu najodpowiedniejszym, ale nawet zupełnie w tym razie się nie nadaje. Robotnicy *wnoszą towary* do sklepu, tragarze *wnoszą meble* do mieszkania, panna *wnosi posag* mężowi, królowa Bona *wniosła obyczaje* włoskie do Polski, zadżumiony arab *wnosi zarazę* do miasta, człowiek swarliwy *wnosi kłótnię* do spokojnego domu itd. Zastanowiwszy się nieco nad treścią tych i podobnych przykładów, dochodzimy do wniosku, że *wnosi* się coś tylko *osobiście*, razem ze sobą i że musi to być coś *ciężkiego*, a w znaczeniu przenośnem — *ważnego, szczęśliwego* lub *złowrogiego*." A więc z tej wiekopomnej definicyi wypada:

1) jeżeli abonent przesyła prenumeratę w rublach papierowych, to jej *nie wnosi*; ale jeśli ją składa *osobiście* i w miedziakach („jest to coś ciężkiego"), to ją *wnosi* — jak tragarz meble;

2) panna, której ojciec oddaje wiano zięciowi, *nie wnosi* posagu (bo nieosobiście); ale jeżeli sama wypłaca mężowi pieniądze, *wnosi* posag.

Co do „znaczenia przenośnego," p. L. S. W. nie widzi widocznie, ażeby prenumerata była czemś „ważnem" i „szczęśliwem" i uznaje ją za rzecz zupełnie obojętną. Ponieważ wydawcy, a nawet literaci twierdzą inaczej, więc „wnoszenie prenumeraty" prawdopodobnie nie ustąpi z naszej prasy i utrwali „wkorzeniony zwyczaj."

Do takich to dziwolągów doprowadza nieraz nasza filozofia języka, która go przystrzyga, ile razy on wypuści jakąś gałązkę po za sztachetki *Słownika* Lindego. Co w narzekaniach — oprócz tego Koranu — jest miarą, nikt nie zgadnie. Logika — nie, bo w takim razie p. L. S. W. nie pisałby: „walczyć ze zwyczajem jest *rzeczą* trudną," gdyż „walczyć" nie może być „rzeczą." Więc cóż? Ot proste zrzędzenie korektorów „w rozstrojonym stanie zdrowia„ — przepraszam — „w rozstrojonem zdrowiu," którzy nie umieją „wniknąć" — przepraszam — „pogrążyć się" w rozwój mowy.

Posel Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Dziesięcioletni podpalacz. — Społeczna strona tego faktu. — Legenda o tradycyjnej poczciwości i istotny stan rzeczy. — Jedynie możliwa dziś recepta. — *Uczyć się przed pracować.*— Duchowieństwo i moralność.—Postęp od myśli do słów.—Nasze teorye i niemiecka praktyka.—Wywóz na 11 milionów. — Pożądana konkurencya. — Nadzieje kredytu i nowych ustaw o towarzystwach rolniczo-przemysłowych. — Spełnione oczekiwania przemysłowców białostockich i grodzieńskich.

Korespondent z Radomska do piotrkowskiego *Tygodnia* podaje straszną ilustracyę obyczajowości naszych włościan. We wsi Strzałkowie *dziesięcioletni* chłopek, nazwiskiem Grzywacz, przez złość do sąsiada spalił mu stodołę wraz z całym plonem tegorocznego urodzaju. Na miejsce wypadku zjechał wójt i wydobył odrazu z malca przyznanie się do winy i wszelkie szczegóły czynu: pobudki, plan i sposób wykonania. Wójt oddał winowajcę do sędziego śledczego, ten, zrobiwszy swoje, przekazał sprawę prokuratorowi, a Grzywacza wypuścił i odesłał do domu. Rodzice, jak się łatwo domyśleć z faktu, iż potrafili wypielęgnować podobnego potwora, są ludźmi bardzo złego prowadzenia się. Wieś więc drży z obawy o swe mienie, gdyż rozzuchwalony krótką karą podpalacz, nie będąc zapewne w stanie zrozumieć, że nie wszystko jeszcze skończone, grozi niejednokrotnem powtórzeniem aktu zemsty na różnych gospodarzach.

Korespondent *Tygodnia*, pochłonięty całkowicie przez podziw i oburzenie, zapomina zupełnie o społecznej stronie sprawy. Naturalnie przesądzać rzeczy nie należy, jest to fakt pojedynczy, a powtóre w czynie dziesięcioletniego dziecka wiele policzyć należy na karb wieku i głupoty; starszy człowiek nie targnąłby się łatwo na podpalenie, jak bezrozumny dzieciuch, niemogący ocenić doniosłości swego postępku. Z drugiej jednak strony, niepodobna nie przyznać, że mały Grzywacz odbija w sobie smutne cechy ducha niewykształconych, nieucywilizowanych warstw. Mściwość jak rak trawi serca i nie pozwala przyjmować się szlachetnym instynktom. Brak wszelkich pojęć, brak możności zrozumienia potrzeb wspólnego życia nie przeszkadza szaleniu popędów niszczycielskich. Jaśniejsze iskierki dodatnich uczuć, przebłyskujące tu i owdzie w czynach miłosierdzia, współczucia itp., są tylko drobniutkimi punkcikami, rozrzuconymi gdzieniegdzie na czarnem tle ujemnych, egoistycznych dążeń.

Kto z nas nie wie, że twierdzenia o tradycyjnej zacności złotego serca wieśniaczego są tylko legendą! Być może zresztą, że tam, gdzie interes osobisty nie staje na przeszkodzie, jakaś odruchowa poczciwość jest możebną, gdzie jednak do walki występuje popęd ujemny, bezpośrednio dotykający potrzeb własnych, tam nieznajduje żadnego przeciwnika prócz może obawy kajdan i łatwo wychodzącego z pamięci strachu przed karą wieczną.

Jest to konieczne. Wyższe pojęcia i uczucia społeczne to nie żaden dar łaski nadprzyrodzonej, lecz wynik cywilizacyjnego rozwoju; skądże więc one mogły przedostać się pod strzechy klasy, która dotąd pracowała jedynie, której wiedza i uczucia nikomu nie były potrzebne, od której domagano się jedynie, muszkularnych rąk, wytrwałości, wielkiej liczby dzieci i zdrowych zębów.

Dziś się czasy zmieniły, powołane do życia publicznego tłumy, o tyle wystąpieniem swojem przyczynią się do pchania postępu, o ile przedstawiają wartość moralną i umysłową. Zwracając się z tem teoretycznym pewnikiem do zbadania naszego społeczeństwa, widzimy brak zasad, brak uczuć, brak urządzeń, które by pozwoliły na dodatni rozwój. Wszędzie na świecie co do dwóch pierwszych stron życia działo się podobnie, ale wyjście było możebne. U nas... Jak wyrwać się z tego zaczarowanego koła? Ach, ile głów, tyle projektów, ile projektów, tyle pełnych oburzenia protestów. Jedna jest tylko rada na tyle ogólna, że nikomu zapewne nie przyjdzie na myśl potępić, lub ukrywać jej przed światem: *uczyć się i pracować*, pracować bez opuszczenia rąk, nie zrażając się nigdy i niczem. Ale należy, aby w tej nieomylnej społecznej recepcie *uczyć się* stało zawsze przed *pracować*. Bo wysiłki bohaterskie nawet, czyny kapiące się w chęci poświęceń i poświęcenia same, oparte na marzeniach młodości, na szlachetnych popędach, wybujałych bez kontroli ścisłej wiedzy, to często, ba, zawsze niemal opuszczenie krwi, wyczerpujące organizm.

Na co to mówić takie znane rzeczy, aż naiwne wskutek swej oczywistości? Cóż ja zrobię, kiedy tylko co, godzinę temu, wczoraj, rok, pięć lat temu, ciągle ocieram się o wybujałe dobre chęci, migocące jak pochodnia w ręku waryata; żyjemy w atmosferzerze porywających frazesów, wypowiedzianych przez szczere usta, a chłop nasz jak głupi, tak głupi, jak zły, tak zły!

Prawa kościelne w sprawie podpalania zrobiły wszystko, co mogły. Podpalaczowi zwykły ksiądz dać rozgrzeszenia nie może, niema tego prawa nawet biskup, stolica apostolska zachowała sobie przywilej, aby tem większą grozą przejąć serca zbrodniarzów; lud nasz jest napobożniejszym żywiołem katolickim na świecie, i... nigdzie w grupie zachodnich narodów tyle podpaleń niema, co u nas. Nie można powiedzieć, ażeby duchowieństwo rzymskie, obrzędy, kult katolicki ustępowały innym, o nie, przewyższają je nawet. Więc chyba źródło bezsilności leży w orężu. Czas więc, ażeby zwolennicy dawnych środków rozwoju, raz nareszcie przejrzeli i nie stawiali przeszkód występującym nowym siłom.

Dzięki groźbie rolnego kryzysu, zaczynamy mówić o różnych sprawach, o których dawniej myśleliśmy tylko. Jestto postęp, bo, naturalnie, wyrażenie myśli wymaga większej ścisłości i znajomości rzeczy; szczególniej jeżeli to wyrażenie odbywa się na piśmie.

Dziennik łódzki zwraca uwagę na istnienie wielkiej ilości bogactw naturalnych w łonie naszej ziemi—samo wyliczenie nazwisk zajmuje mu dziesięć wierszy. Nie będę tego powtarzarzał, bo i tak każdy z nas domyślał się czegoś podobnego i, zebrawszy wspmnienia, mógłby zapewne z niewielkiemi opuszczeniami toż samo powiedzieć: srebro w Olkuszu, marmur w Chęcinach, bursztyn w Ostrołęce...

Poruszanie jednak kwestyi, dosyć wytrwale odbywające się w prasie, pozwala mieć nadzieję, iż kiedyś doczekamy szczegółowego wyłożenia, gdzie, co, jak się znajduje, wraz z wytłomaczeniem, jak się wziąć do wydobywania „skarbów" na wierzch. Nie, zresztą, to ostatnie będzie niepotrzebne, bo jak zwykle tak i w tym razie dowiemy się, nie co posiadamy, lecz co nam niemcy zabrali. Oni nam wtody w praktyce pokażą jak się brać do roboty.

Praw. Wiestnik podaje, iż rok rocznie z Królestwa polskiego wypływa do Prus drzewa za 11 milionów rubli, miejscowa zaś wytwórczość w tej gałęzi wynosi 3 miliony. Prócz najniższego gatunku wyrobów, wszystkie potrzeby nasze z dziedziny przemysłu drzewnego zaspokajają przedsiębiorcy zagraniczni, czyli, że opłacamy hojnie fabryki obce za przeróbki naszych dębów i jesionów. Czy też jaka konkurencya amerykańska nie napadnie na nas kiedy z tej strony?

Mamy podobno doczekać się nareszcie kredytu na ulepszenie gospodarstw. Szczegółów jeszcze niema, głoszenie więc tej nadziei wywołuje jedynie smutne rozmyślania o tem, że Anglia wyprzedziła nas o 40 lat, Francya o 30 itd., że kiedy gdzieindziej stopa procentowa wynosi 3%, 4%, najwyżej 5% u nas 10%!

Jedynie pocieszająca rzecz, jaka się da zanotować ze sfery rolniczej, prócz lękliwego i chwilowego może podnoszenia się cen na naszą pszenicę, są wieści o Towarzystwie rolniczem w Mińsku. To też rzadko które pismo nie powiadamia o niem choć raz na tydzień swych czytelników. Pomyślny rozwój i rzeczywiste korzyści osiągane przez to Towarzystwo powinnyby zachęcić inna okolice do naśladowania, tem bardziej, że obecnie prawodawstwo ma zamiar przyjść z pomocą. Dotychczas pozwolenie założenia Towarzystwa rolnico-przemysłowego zależało od ministrów dóbr państwa i spraw wewnętrznych. To oczywiście połączone było z znacznemi trudnościami i stratą czasu; otóż niedawno departament rolnictwa i przemysłu rolnego wystąpił z projektem o daniu w przyszłość gubernatorom prawa bezpośredniego rozstrzygania w kwestyi otwierania wspomnianych towarzystw. Wypracowana przytem została normalna ustawa, która z góry przyjętą być ma przez te towarzystwa, pragnące otrzymać sankcyę gubernatorską. Projekt niedługo rozpatrzy Rada państwa.

Lach.

Królewiec. W ciągu zeszłego tygodnia przywieziono tu 6294 wagonów zboża rosyjskiego, czyli o 495 wagonów więcej, niż w poprzedzającym tygodniu.

Włocławek na tutejszym rynku zbożowym panuje zupełny zastój. Wszędzie słychać tylko o niskich cenach zboża i niemożności zbytu po za granice państwa. Znaczniejsi kupcy zbożowi czynią wszelkie możliwe ustępstwa, obniżają cenę do minimum z własną stratą, byle handel szedł. Ostatni jarmark wrześniowy, który innych lat bywał bardzo ożywiony, jako pierwszy po żniwach, w tym roku zupełnie się nie udał; kupujący nie dopisali, pomimo że pogoda sprzyjała.

Łęczna. Na jarmarku w tym roku głównym przedmiotem handlu były konie, których dostawiono 2580 sztuk, wartujących ogółem 549,000 rs., z tych sprzedano 1820 sztuk za 387,600. Towarów, przeważnie garderoby gotowej, skór i futer przywieziono za 981,000 rs., a sprzedano za 702 tysięcy rubli.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 2 października.

Wszystkie ważniejsze wypadki w polityce europejskiej dotykają obecnie Anglii. Do walki z nią powstają związki potęg pierwszorzędnych, geniusz ks. Bismarka się wysila, intrygi nieustannie nurtują na wszystkich punktach globu ziemskiego. Ale śród złorzeczeń i odgróżek John Bull stoi spokojny, urągający, pewny swego. Takim samym był na kongresie berlińskim, z taką samą imponującą zimną krwią kazał pod Aleksandryą pierwszą bombę wyrzucić w odpowiedzi na narady konstantynopolitańskie.

Ministeryum skarbu egipskie t. z. fundusze amortyzacyjne, t. j. sumy przeznaczone do wypłaty należności kapitalistom europejskim, przeniosło do swej kasy. Rzecz naturalna, że wobec wpływów Anglii nad Nilem nikt ani mógł wątpić o decydującej roli protektorki w tej sprawie. Trzy państwa kontynentalne, Austrya, Francya i Niemcy, wyraziły natychmiast swe oburzenie. Czekano, jak postąpią Włochy i Rosya. Po zjeździe skierniewickim druga przyłączyła się zaraz, i cztery jednobrzmiące protesty zostały wręczone w Kairze Nubarowi baszy. Włochy ku wielkiemu zgorszeniu wielu polityków (w tej liczbie i naszych) zachowały postawę neutralną, a przez to już samo przyjazną dla Anglii. Co do nas, wątpimy, aby na tem źle wyjść miały.

Gladstone wobec zaczepek europejskich dokonywa piłatowego obrzędu, tłomacząc, że Egipt nie jest Anglią i odsyła wszystkich do Kairu. Z drugiej strony, prasa londyńska twierdzi, że nic ma nawet co mówić o zmianie postanowień egipskiego ministeryum skarbu, bo to fakt spełniony. Przypominają przytem Aleksandryę.

Wojownicze manewry państw kontynentalnych skłoniły opinię publiczną jedynie do zajęcia się obmyśleniem środków obrony. Anglia pod względem solidarności wewnętrznej wobec jakiejkolwiek akcyi na zewnątrz może służyć za przykład światu całemu.

W południowej Afryce coraz gęstsze chmury zaczynają się zbierać nad panowaniem wyspiarzy europejskich. Boerowie zagarniają ziemie i plemiona, hołdujące już Anglii od dawna, głoszą nawet jakieś pretensye i zamiary do opanowania Kaplandu. Zwiększona zuchwałość czerpie zapewne swe źródło w bliskości pomocy żelaznego kanclerza, który w staraniach nad rozwojem kolonij nie ustaje ani na chwilę, obradując z właścicielami posiadłości afrykańskich.

Co się dzieje z Gordonem? Co zamyśla Wolseley? — nic nie wiadomo napewno, to jednak wciąż zdaje się być niewątpliwem, że tam kłopoty pierzchną same.

Mówiąc o Anglii, niepodobna zapomnieć o losach przymierza niemiecko-francuskiego. W paryskiej prasie są pierwsze wieści — błędne prawdopodobnie — na czem opiera się ta niespodzianka dyplomatyczna. Według nich; Bismark ma poprzeć *energicznie* Ferrye'go w zatargu z Chinami, a na brzegach afrykańskich nastąpić powinny wzajemne ustępstwa i udogodnienia.

Upojenie jednak miodowemi słodyczami pierwszych chwil sojuszu zaczyna już mijać i gdzie niegdzie na szpaltach pism niemieckich występuje gorycz rozczarowania. Liga patryotyczna nie chce zapomnieć o tradycyach myśli odwetowej; towarzystwa gimnastyczne wraz z alzacko-lotaryngskiemi i innemi korporacyami urządzają anti-niemieckie demonstracye. Ani wątpić można, że tak drogie sercu narodu hasła o potrzebie odebrania zagrabionych prowincyi, o zmyciu plamy na honorze przemogą nad politycznemi marami, pod osłoną których ks. Bismarck snuły swą trującą intrygę. Opinia publiczna zanadto gra wielką rolę we Francyi, aby rząd mógł w swej polityce płynąć wbrew jej prądom, tem więcej, że dziś wcale w kołach ministeryalnych nie panuje niemco-filskie zaślepienie. Spuller zdziwił gazety nadsprejskie swą mową w Grenoble, a minister Campenon na uroczystości w Vincennes wyraził nadzieje, niemogące w żaden sposób przypadać do serca berlińskim politykom.

Żeby też z takiego obrotu rzeczy sentymentalno-humanitarni, a zarazem trzeźwi politycy i po zagranicami Francyi zechcieli się dowiedzieć, że ogień się w wodzie nie pali i rozniecanie płomienia na dnie rzeki jest waryactwem.

Stanley'owi nie bardzo się wiedzie z jego Międzynarodowym wolnem państwem w Congo. Zaopiekował się wprawdzie planem król belgijski, ale zmienił go tak radykalnie, że chce zrobić kraj częścią swych posiadłości politycznych, poręczając za to wszystkie urządzenia, żądane przez Stan. Zbyt krótką była dotąd zawsze trwałość podobnych zapewnień, ażeby trzeźwy amerykanin dał się na nie złapać.

Wśród słowian półwyspu bałkańskiego zaszły nieporozumienia o kwestye cłowe, rząd króla Milana ma pretensye do Bulgaryi o podwyższenie opłat i szkodzenie interesom serbskim. Użyliśmy niewłaściwego słowa *zaszły*, gdyż one tam kotłują się bez ustanku; stała ilość współzawodników wytwarza wciąż inne kombinacye: Serbia i Czarnogóra, Czarnogóra i Bulgarya, Bulgarya i Rumelia itd. Daje to miły predsmak, coby się działo, gdyby sny o wielkiej federacyi sprawdzić się kiedyś miały.

Przebąkują coś o upoważnieniu Austryi przez zjazd trójcesarski do ostatecznego zajęcia Bośni i Hercogowiny.

Akcya przedwyborcza w Niemczech naroszcie ożywiła się na dobre. Jakie stanowisko zajmuje rząd, określa najlepiej fakt, że cesarz Wilhelm nie przyjął adresu szlachty Westfalskiej, gdyż ta prócz zapewnień o uczuciach lojalności, wyraziła także swe życzenia co do kulturkampfu. Stronnictwo socyal-demokratów postawiło 144 kandydatur: 68 w Prusach, 16 w Bawaryi, 32 w Saksonii i 37 w innych państwach. Ciekawa rzecz ilu z nich ludność powoła na reprezentantów.

Poznań. Radca ministeryalny Stauder, zwiedzając gimnazyum św. Maryi-Magdaleny, był obecnym na lekcyi języka polskiego w klasie 3-ej. Miał on przy tej sposobności przemowę do uczniów, w której zachęcał, ażeby się gorliwie przykładali do nauki języka ojczystego. W końcu, dowiedziawszy się, że na 300 uczniów narodowości niemieckiej, 40 tylko bierze udział w nauce języka polskiego, mocno się zdziwił, iż tak mała liczba uczy się tego języka. „Wizyta p. S.— mówi *Wiek*—zrobiła w Poznaniu dość silne wrażenie, widzą bowiem w słowach radcy ministeryalnego dowód, że sfery rządowe nie podzielają już w takim stopniu, jak dawniej tendencyj giermanizacyjnych.“

Berlin. Uważają tu za rzecz pewną, iż przymierze francusko - chińskie dojdzie do skutku w bliskiej przyszłości.

CUDZE GŁOSY.

Świt, komentując doniesienie *Kur. warsz.*, że „liczne grona polaków w Wiedniu odprawiło (?) nabożeństwo na intencyę zachowania społeczeństwa naszego od knowań anarchicznych i szkodliwego wpływu“ żywiołów obcych — pyta, co robi „liczne grono“ w Wiedniu, i powiada:

„*Liczne grono* poczuwa się widać nie żartem do obywatelskich obowiązków swoich. A że do spełnienia ich nie obiera takich dróg ubocznych, pośrednich, jak np. oddychanie zatęchłą atmosferą polskich miast i wiosek dla zbliżenia się z ludem i poznania potrzeb jego, albo jak osobiste oddziaływanie przeciw „szkodliwym wpływom napływowych żywiołów,“ no, tego mu przecież za złe brać nie można. Ono obiera drogę daleko krótszą i o wiele wygodniejszą. Zakupuje mianowicie nabożeństwo, poleca sprawy społeczeństwa swego Boskiej Opatrzności i wraca do swoich zajęć: kto do winta, to do winta, kto z wizytami, to z wizytami, cicho, sza, pięknie — i rzecz skończona.

A że tam het, na Mazurach, środek powyższy nie usuwa złego, ha! to cóż robić? „Liczne grono“ dopełniło obowiązków swoich, a reszta do Opatrzności należy. Alež za pozwoleniem, szanowni panowie! wartoby może dać nieco spocząć Opatrzności owej. Wszakże sam papież nawet nie wszystko zwala na jej barki w klęsce, jaka ojczyznę jego dotyka, ale posługuje się także ziemskimi sposobami i przeznacza milion lirów na szpital dla cholerycznych w Rzymie.“

St. Petersb. Wiedomosti piszą:

„Doniosłe znaczenie mają słowa monarsze, wyrzeczone do kuratora okręgu naukowego, p. Apuchtina: „Widziałem kilka waszych szkół, żałuję, że ich nie widziałem więcej. Teraz Sam przekonałem się, że dzieci czysto i dobrze mówią po rosyjsku.“ W tych niewielu wyrazach mieści się cały program. Szkoła rządowa w kraju przywiślańskim powinna *przedewszystkiem* być szkołą języka rosyjskiego, a *główną jej zasługą* gruntowne wyuczenie wychowańców języka państwowego, przyswojenie tą drogą jednego z naszych pogranicz ogólno-państwowemu, ogólno-rosyjskiemu życiu. Żadne wątpliwości co do potrzeby nauczania w szkołach kraju przywiślańskiego w języku rosyjskim już odtąd powstawać nie mogą, a doświadczenie stwierdzone przez Najwyższego Wizytatora tych szkół okazuje, że z podobnym porządkiem rzeczy nie wiążą się żadne nadzwyczajne trudności, ponieważ dzieci, według słów Cesarza, „czysto i dobrze mówią po rosyjsku.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

„Pomoszcz bratniaja.“ Pod tym tytułem opuściło prasę wydawnictwo, przeznaczone na rzecz ofiar tegorocznej powodzi w Kr. Polskiem.

Album malarzy polskich (wydawany przez Robiczka) zawiera w ostatnim zeszycie piękne odbicia dwu obrazów: Kozakiewicza *Zabawa w kuźni* i Żmurki *Napój miłosny*.

Konkursy policyjne (jeden z nagrodą rs. 100 drugi 50) wyznaczone zostały dla rewirowych i stójkowych w Warszawie.

Na pomnik dla Sarbiewskiego nadesłano wreszcie kilka projektów *Tygodnikowi ilustr.*

Malarstwo. Matejko wystawi wkrótce nowy obraz „Bolesław Chrobry ze Świętopełkiem pod Złotą Bramą Kijowa.“

Sądy. Głośna sprawa o kradzież dowodów w Zjeździe sądowym warszawskim została rozstrzygniętą wyrokiem, uwalniającym Krajewskiego a skazującym Italianera na pozbawienie wszystkich praw i osiedlenie w Syberyi.

— W Krakowie toczy się rozkrzyczany proces przeciwko Mojżeszowi i Gitli Riterom oraz Stochlińskiemu, oskarżonym o zamordowanie Franciszki Mnich dla zniszczenia z nią płodu Mojżesza. Wrzawa nadała tej sprawie (już raz rozstrzyganej przez sąd rzeszowski) rozgłos awantury tisza-eszlarskiej.

Konsulowie, przebywający w Nizy, łącznie z miejscową municypalnością, proszą nas o zawiadomienie czytelników, że Niza, Cannes i Mentona cieszą się jak najlepszym stanem zdrowotnym.

Komisya sanitarna ma być utworzona w Warszawie z obywateli, lekarzy i urzędników policyi. Ach, gdyby ona tylko nie spała na papierze, lecz wzięła się energicznie do tych strasznych brudów, które gniją w domach i uprawiają grunt dla wszelkich zaraz!

Kongres literacki międzynarodowy obraduje obecnie w Brukselli; jak dawniej, tak i teraz kierownicy opinii nie mają nic ważniejszego do podniesienia, jak targowanie się i radzenie o zyskach materyalnych.

Bezimienny nakładca umożebnił wydanie w polskim przekładzie dwóch dzieł medycznych: *Odczyty z Patologii ogólnej* (3 tomy, 76 ark. druku) niedawno zmarłego w Lipsku prof. Cohnheima i *Wykład patologii szczegółowej* (3 t. 185 ark. druku) prof. Jaccouda. W ostatnich czasach ruch na polu książkowych wydawnictw był zastraszająco mały, to też dwa nowe dzieła powitać należy z uznaniem i radością, tem bardziej, że ma to być początek całego wydawnictwa przekładów dzieł naukowych lekarskich, podjętego w celach pedagogicznych. Ukazywanie się dalszych prac zależeć będzie od rozejścia się pierwszych. W przekładach przyjęli udział doktorowie: Dobrski, Dunin, Fabian, Grosstern, Hewelke, Jawdyński, St. Markiewicz, Nussbaum, Józef Poznański i Reichman. Powierzchowność książek bardzo przyzwoita, ceny przystępne, niższe od oryginałów. Prócz tego w ostatnim nrze *Gaz. lekarskiej* znajduje się zapowiedź oryginalnego dzieła p. t. *Psychyatrya* przez d-ra A. Rothego, naczelnego lekarza w szpitalu Jana Bożego i pisarza, znanego w literaturze naukowej.

Wileńska komisya archeologiczna, na wniosek kuratora okręgu naukowego, postanowiła wydawać stale paleograficzne kopie z dawnych akt oraz nadań, jakie znajdują się w tamecznej bibliotece publicznej i archiwum głównem. Pomimo iż w Wilnie istnieje osobna komisya dla uporządkowania i wyświetlenia wątpliwości w starych dokumentach, publiczna biblioteka, bogata nadzwyczajnie w materyały historyczne, pozostaje wciąż w stanie wielce zaniedbanym. Obecnie komisya archeologiczna zamierza wydawać kopie akt w oddzielnych zeszytach, obejmujących po kilkadziesiąt arkuszy. Prócz tego przy każdym zeszycie mają być pomieszczone komentarze do tekstów. Naprzód wydane zostaną wzory rękopisów z akt urzędowych od końca XV w. do początku XVIII.

Szkoła handlowa dla kobiet ma być założona w Petersburgu; zanim jednak to nastąpi, przy jednem z tamtejszych gimnazyów urządzone będą wykłady buchalteryi, korespondencyi handlowej itp. dla uczennic, co ukończyły już kurs szkolny.

Hygieniczna i pedagogiczna wystawa powszechna w Londynie otwartą została w początkach maja, a będzie zamkniętą 24 października. W ciągu pierwszych trzech miesięcy zwiedziło ją około trzech milionów osób. Ma ona na celu obznajmić ogół z praktycznemi zastosowaniami hygieny, zwracać uwagę na najnowsze środki pomocnicze przy wychowaniu i wskazać ostatnie techniczne wynalazki. Urządzenie jest bardzo bogate i pomysłowe. Prócz mnóstwa obrazów odpowiednich i wzorów, na wystawie znajduje się obfita nadzwyczaj biblioteka, pisma w wielu językach i tablice śmiertelności. Okazuje się, że w Anglii najdłużej żyją pastorzy i fermierzy, największa śmiertelność śród zdunów.

Przemysł. Oryginalnie niezrozumiałą wiadomość podaje 267*b* nr. *Kur. warsz*.: „W Strzemieszycach, w powiecie będzińskim otwarto niedawno fabrykę *świec* parafinowych. Właścicielami fabryki są izraelici galicyjscy. Oprócz dyrektora polaka i mechanika niemca cały zarząd i dozorcy są izraelitami. *Świec* się tu nie wyrabia, lecz tylko trzechgatunkowy wosk ziemny.“ Co chciał wyrazić brukowy nasz organ przez fabrykę świec, gdzie się one nie wyrabiają — trudno zrozumieć. Niedwuznaczną w tej dwuznacznej instytucyi jest ta okoliczność, że robotnicy pracują 13 godzin dziennie i pobierają po 55 kop.

— W Ząbkowicach otworzono fabrykę wyrobów szklannych. Przedsiębiorcą jest czech, wszyscy lepiej płatni robotnicy — czesi, tylko podrzędniejsze roboty wykonywają miejscowi ludzie.

Mińskie towarzystwo rolnicze miało w roku zeszłym ogółem 2211 rs. dochodu. Wpisowe członków wynosiło 1000 rs., zapomoga ministeryum dóbr państwa—300; dochód ze składek machin rolniczych (? czerpiemy z *G. polskiej*)—300, pozostało z r. 1883(?)—611 rs. Rozchód doszedł do 1800 rs. W rubryce wydatków znajduje się między innemi pozycya „na prenumeratę czasopism“—rs. 33. Towarzystwo abonowało trzy tygodniki popularno-rolnicze w języku rosyjskim i jeden w polskim, a mianowicie *G. rolniczą*. Liczyło 6 członków honorowych, 116 — rzeczywistych i 9 — korespondentów. Z pomiędzy rzeczywistych 97 było polaków i 19 rosyan. Prezesem Towarzystwa pozostawał hr. Myszerkow. Zarząd składał się z pp. P. Chomętowskiego, J. Kukiewicza, Z. Święcickiego i M. Wańkowicza.

Nową ekspedycyę polarną do kraju Franciszka Józefa wysyła Ameryka. Dowództwo obejmie inżenier Melleville; koszta ponoszą: Cyrus Field i New-york'ski Yacht klub.

Proces Orleanów. Francuski minister skarbu Tirard zarządził śledztwo administracyjne względem majątku i dochodów ks. Orleańskich. Z tego powodu wywiązała się polemika między dziennikiem *Siècle* i senatorem Bocher, pełnomocnikiem spadkobierców Ludwika Filipa. Z polemiki tej wypłynęły na wierzch takie fakty: W 1856 roku Napoleon w zamian za skonfiskowane dobra kazał wypuścić trzy konsolidowane renty po 200 tysięcy franków dla księżniczek orleańskich. Król belgijski jako mąż-spadkobierca jednej z nich stał się właścicielem takiej renty. Ks. Klementyna zaś (sasko-koburska) i sukcesorowie ks. Maryi wirtemberskiej zrzekli się przypadających na nich części i suma 400,000 nie była pobierana aż do r. 1872, w którym zapadło prawo, przywracające Orleanom dobra bez odwołania dekretu Napoleona co do renty. Książęta też za staraniem Bochera weszli w posiadanie majątków i 400,000 renty. Obecnie minister Tirard chce nietylko powstrzymać dalszą grabierz skarbu publicznego, lecz zażądać zwrotu zabranych w ciągu 10 lat 4 millionów franków. Sprawa przejdzie przez kilka instancyj, naprzód przez śledztwo administracyjne, potem przez komisyę parlamentarną i nareszcie wejdzie na drogę sądową.

Turgeniew — jak opowiadają pisma rosyjskie,—dręczony przez jakiegoś młodego dramaturga, zgodził się wreszcie na wysłuchanie jego utworu. Podczas czytania młody autor spostrzega, że mistrz przyłożył chustkę do oczu.

— Pan płacze? — pyta.

— Nie—odpowiada Turgeniew—pocę się.

To szyk! *Kur. warsz.* przytacza następujący obrazek: „Pan X, człowiek zamożny, przed dwoma miesiącami ożeniony za granicą, powrócił do Warszawy dla umeblowania mieszkania, żonę zaś pozostawił u jej rodziców aż do czasu zupełnego urządzenia domu. Stosując się ściśle do poleceń małżonki, zaopatrzył buduar i salon w przepisane sprzęty; pragnąc jednak uniknąć niezadowolenia pani, obmyślił wcale dowcipny na to sposób. Zawezwał fotografa i zażądał zdjęcia widoków tak całych salonów, jak i niektórych szczegółów umeblowania. Tym sposobem pani X, chociaż zdala od domu, będzie mogła wydać w ostatniej instancyi wyrok o jego urządzeniu. Kilka dni temu album został wysłane za granicę do zatwierdzenia...“ Jeżeli jaka przyszła pani Ćwierciakiewicz napisze książkę o 365 sposobach pieniężnego rozkiełznania, pewnie ten obrazek pomieści na czele.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

F. L. A jakąż drogą my o tem dowiedzieć się możemy? Musi Pan sam podjąć starania.

P. I. Kw. w Rydze. Łatwa-krótka—i dla wydawców ponętna — broszury posiadającej tyle warunków wskazać Panu nie możemy, zwłaszcza że podobne prace są szybko chwytane i tłomaczone. Niech Pan przejrzy spis *Zeit- u. Streitfragen* lub podobne zbiory niemieckie.

P. S. w Bolesławcu. Opłata *Prawdy* do 1 stycznia wynosi rs. 3 kop. 34; wysłana książka k. 40—pozostaje u nas k. 26.

Dr. S. w Starymkonstantynowie. Medycyny kwartał III był opłacony—reklamowaliśmy.

P. M. w Petersburgu. Prenumerata rs. 2,50, Brandes kop. 50, pozostaje u nas rs. 1. *Etykę* Spencera nabyć można, kosztuje rs. 2.

P. Ł. w Aleksandrowsku. Do prenumeraty kwar. IV brakuje kop. 50; odebraliśmy tylko rs. 2.

P. J. S. w Kozłowie. Odebraliśmy jednocześnie z reklamacyą. Wysłano.

OFIARY.

Na wpis dla uczniów. Stanisławska z Kijowa rs. 3.

Sprostowanie. W nrze 37 *Prawdy* w „Kronice“ nazwisko prezesa zjazdu archeologicznego winno być hr. *Uwarow* zamiast adw. *Urusów*.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Сентября 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.